Opuszczony fragment „Pana Tadeusza" (?) Czytaj pod ławką! Nie pokazuj Pani od polskiego - str. 12

Do Łodzi po zakupy - str. 3

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137—7108 Nr indeksu 36251

kamena

NR 6 (826) 24 marca 1985 CENA 10 ZŁ

27 marca - Międzynarodowy Dzień Teatru

LAURY - TAK, ALE...

WIOSNA w teatrze zaczyna się Międzynarodowym Dniem Teatru. Mniejsze sceny, terenowe, które zwykle starają się być ambitne, przygotowują na 27 marca nowe premiery. Teatry uchodzące, albo same uznające się za wybitne, na ogół nie zabiegają o względy publiczności, więc „załatwiają" uroczystości jakimś kwiatkiem, przemówieniem, spotkaniem...

Ale wiosna dla teatru to nie tylko święto; oznacza również pewien niepokój, ruch, często niepewność, co jest związane z nowymi kontraktami aktorskimi, z nową obsadą stanowisk dyrektorskich. Często zatem wiosna przynosi zdekompletowanie zespołu artystycznego, niekiedy nawet zniweczenie tego, co osiągnięto w ciągu kilku sezonów... Bywa jednak, że przynosi ona i nadzieję na lepszy teatr. Wreszcie wiosna skłania do zamyśleń nad modelem teatru i nad podstawowym, choć nieprostym wcale pytaniem: kto, jak i po co robi teatr?

Nasze lubelskie teatry mają niekiedy kompleksy prowincjonalizmu, czasem nawet słuszne: telewizja ich nie rozpieszcza, miejscowy ośrodek jest w powijakach, a w dodatku kasę ma mizerną.

Artyści, jak ludzie, są omylni; talent, zdolności, duch, a nawet zwykła sprawność fizyczna bywają kapryśne. A przy tym są oni istotami szczególnie czułymi i delikatnymi. Nie przepadają, mówiąc delikatnie, za krytyką i na ogół domagają się bezwzględnej akceptacji dla swojej twórczości. Dobre samopoczucie wielu spośród nich to chyba najcenniejszy kapitał, jakim dysponują! Tworzenie ze świadomością, że tworzy się rzeczy wielkie i „na miarę" jest przeświadczeniem zapewne wspaniałym (!), dającym się w każdym razie wytłumaczyć. Tylko, że częste żądania kierowane do publiczności i recenzentów, aby tę wielkość uznawały, wydają się niekiedy przesadnie śmieszne.

Święto Teatru powinno przywołać słowa ciepłe, dające się ułożyć w okolicznościową laurkę, ale są przecież sprawy niepokojące, których przy całej życzliwości dla teatru i artystów nie da się ubrać w gorset łagodności, zwłaszcza gdy chce się traktować teatr poważnie jako skutek historii, polityki, współczesności, a nie jako zjawisko wyłącznie rozrywkowe, bezczasowe i bezkształtne.

Narzekamy — i trzeba to powiedzieć nawet przy święcie — że nasze sceny są nijakie, zapyziałe, błyszczące i tonące w bylejakości, ale może to tylko nasze wymagania i oczekiwania przerastają realne możliwości teatru? Ale jeśli żądamy od artystów, by „budowali teatr z aniołami", to pewnie dlatego, że „człowiek tęskni — jak napisał Claudel — i od kolebki nic nie rozumie. I nie wiedząc, jaki jest koniec, ani jaki początek, chodzi do teatru. Oparłszy ręce na kolanach, ogląda tam sam siebie." Tę Claudelowską myśl warto może dedykować jako przesłanie na Dzień Teatru: dla dyrektorów, którzy chcieliby, aby ich teatr był dobry; dla reżyserów, którzy po premierze obrażają się na recenzentów; dla aktorów, którzy nie zawsze pamiętają o wielkości swojego zawodu; dla krytyków, którzy o złych przedstawieniach pisują dobrze, a o dobrych źle; dla teatrów, które mimo (a może dlatego?), że bywają różne i sporne, mogą i niepokoić i interesować!

(Na stronach 3 i 7 zamieszczamy teksty poświęcone życiu teatralnemu w Lublinie).

Rys. Józef Tarłowski

II nagroda w konkursie „Kameny" na wspomnienia z okazji 40 - lecia Polski Ludowej

Awans

„Budowlaniec"

ZDARZAJĄ się w życiu człowieka takie niespodziewane sytuacje, które zmieniają nagle dotychczasowy rytm pracy, otoczenie, zawodowe zainteresowania, powodują jak gdyby okresowe oszołomienie i pewną nieporadność. Nie muszą to być jakieś wypadki losowe. Jest to zwykłe codzienne życie zmienione wolą innego człowieka, czasem za aprobatą zainteresowanego, i czasem wbrew jego woli.

Takim przełomowym momentem był dla mnie niespodziewany „awans", który spotkał mnie w końcu lipca 1958 r.

Był środek upalnego lata. Czas urlopów pracowników biur i urzędów w mieście, a jednocześnie czas wytężonej pracy na wsi. Dla mnie był to również okres najbardziej nasilonej pracy, mimo że nie byłem rolnikiem, a urzędnikiem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Od kilku lat zajmowałem stanowisko kierownika Wydziału PPRN, do którego zakresu działania należały sprawy gospodarki samochodowej, a głównie sprawy budowy i remontów dróg i mostów lokalnych (gminnych). Sprawami pojazdów mechanicznych i praw jazdy zajmował się mój zastępca, ja zaś byłem przede wszystkim organizatorem i kierownikiem robót drogowych i mostowych. Budowaliśmy każdego roku około trzech kilometrów nowych dróg na ważniejszych trasach i dwa lub trzy ważniejsze mosty (przeważnie drewniane) oraz różne odcinki dróg w ramach czynów społecznych, gdzie roboty wykonywała ludność wiejska z dostarczonego przez Wydział materiału.

Ponadto wykonywaliśmy różne prace remontowe na drogach i mostach. Ponieważ były to roboty sezonowe i trwały od wiosny do jesieni, nigdy latem nie korzystałem z urlopu, podobnie jak i podlegli mi pracownicy. Lubiłem jednak tę pracę, dawała ona dużo satysfakcji szczególnie wówczas, gdy oddawaliśmy do użytku wykonane drogi, uruchomiali komunikację autobusową i przyjmowaliśmy szczere podziękowania ludności wiejskiej za to prawdziwe dobrodziejstwo, jakim było łączenie ze światem „zabitych deskami" wsi. A trzeba powiedzieć, że nasze województwo posiadało najrzadszą sieć drogową w kraju, a powiat jedną z najrzadszych w województwie.

Podlegało mi wówczas około 80 stale zatrudnionych w Wydziale pracowników, w tym kilku młodych techników drogowych, kilkunastu dróżników, zaś w sezonie letnim trzeba było kierować praca wykonywana na drogach przez kilkuset rolników odrabiających tzw. „szarwark", lub wykonujących prace w czynie społecznym, co czyniłem za pośrednictwem moich techników i drogomistrzów. Sam byłem technikiem drogowym, a właściwie technikiem „podwójnym", bo posiadałem również wykształcenie z zakresu budownictwa ogólnego. Zarabiałem jak na owe czasy nieźle: moje uposażenie miesięczne wraz z premią za budowę dróg wynosiło ok. 2500 zł, a ponadto płacono mi za opracowania projektów dróg i mostów, które wykonywałem na zlecenie mojej wojewódzkiej władzy zwierzchniej, czyli odpowiedniego Wydziału PWRN.

Praca pochłaniała mi, szczególnie latem, dużą ilość czasu. Prawie codziennie wyjeżdżałem z domu o godz. 6. rano, a wracałem późnym wieczorem. Jeździłem wówczas pięknym czeskim motocyklem, czerwoną jawą 250, a moja obecność była konieczna na kilkunastu budowach wykonywa-

Ciąg dalszy na str. 4

POZDRAWIAMY UCZESTNIKÓW WOJEWÓDZKIEJ KONFERENCJI PZPR w LUBLINIE

...My
otwieraliśmy
dzieł Marksa każdy tom,
jak w domu własnym
okiennice rano,
ale i bez czytania
było nam wiadomo,
dokąd należy iść
i z kim do walki stanąć.

(Włodzimierz Majakowski: „Na cały głos", przekład Władysława Broniewskiego)

z notatnika

13 III. Przed czterdziestu laty ukazał się pierwszy numer „Sztandaru Ludu". Wierzyć się nie chce, że czas tak szybko ucieka!

Utkwiło mi w pamięci dziesięciolecie pisma. Uroczysta akademia (choć może lepiej powiedzieć — uroczysty poranek) odbyła się w sali Teatru im. J. Osterwy. Udało się ściągnąć Jerzego Putramenta, który wrócił właśnie ze Stanów Zjednoczonych i pisał swoje głośne wówczas felietony pt. „Trzy łyki Ameryki". Teraz w Lublinie mówił z wielką swadą, pokazując nie tylko barwy czarne, ale i różowe życia w USA. Odbiegało to od stylu ówczesnej propagandy i — jak pamiętam — nie wszystkim się podobało, o czym można się było przekonać podczas rozmów kuluarowych.

Na tej akademii-poranku i ja stałem na trybunie wygłaszając referat o sytuacji międzynarodowej. Zapewne „po linii", ale dziś z tego referatu nic już nie pamiętam. Natomiast zapamiętałem pochwałę Putramenta pod adresem coca-coli. A tak zwalczaliśmy ten wstrętny kapitalistyczny napój na łamach „Sztandaru"! Sam jakiś wierszyk również popełniłem. Kto by przypuszczał, że po latach coca-cola trafi i na polskie stoły!

Gdy „Sztandar" święcił swe piętnastolecie, przebywałem w Szczecinie, więc o obchodach nic nie mogę powiedzieć. Natomiast w 1965 r. główne uroczystości odbyły się w Sali Kolumnowej Prezydium WRN. Wieczorem bankiet był owszem, owszem... Bardzo ciepłe wystąpienie miał Paweł Dąbek.

Na czterdziestoleciu „Sztandaru" też zgromadziliśmy się w tej samej sali. Inne jednak czasy: toasty wznosiło się napojami chłodzącymi, ale za to odznaczenia były wysokie jak nigdy. (Gratuluję!).

Co mi się podobało i co muszę w tym miejscu szczególnie uwypuklić? To, że kierownictwo pisma bardzo ciepło potraktowało dawnych pracowników. Z pierwszym redaktorem naczelnym, prof. Andrzejem Wohlem, ukazał się wywiad na łamach jubileuszowego numeru.

Andrzej Wohl wspomina, jak to na początku była tylko trójka redaktorska: naczelny, zastępca i reporterka. „Gdy odchodziłem — stwierdził — w lutym 1947 r., zespół składał się już z 30 osób."

Dodam od siebie: nie zespół redakcyjny. Do owej trzydziestki Wohl musiał zaliczyć i całą administrację, z księgowością włącznie. Skąd ta pewność? Ano stąd, że kiedy w kwietniu 1948 r. rozpoczynałem pracę w „Sztandarze", było w nim tylko kilkunastu dziennikarzy, w lutym 1947 r. nie mogło więc być ich trzydziestu.

W tym czasie stosunkowo łatwo można było trafić do pisma, bo kadry dziennikarskie przetrzebiła wojna. Nikt nie pytał o dyplom ukończenia studiów, natomiast pilnie oceniano teksty, jak i ... postawę polityczną.

Andrzeja Wohla widziałem tylko raz na jesieni 1946 r. Podpisał mi wówczas zaświadczenie, że jestem współpracownikiem, czy korespondentem (?) „Sztandaru" i wszelkie władze prosi się o okazywanie mi pomocy. Gdybym miał staż dziennikarski liczyć od tego czasu, w przyszłym roku mógłbym obchodzić czterdziestolecie!

Bardzo się ucieszyłem, gdy teraz wśród gości zobaczyłem również Felka Praszczaka. „Reporter dni pierwszych" — pisze dzisiaj o nim „Sztandar". Felek odszedł później z zawodu, ale ponad dziesięć lat temu dał się poznać całej Polsce, kiedy wygrał telewizyjną „Wielką grę", a tematem turnieju była książka.

Dobrze się stało, że kierownictwo redakcji „Sztandaru", przypominając tę postać, zatroszczyło się również i o to, aby Praszczaka uhonorować Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zaproszeń w Polskę poszło sporo, ale jednak niewielu dawnych pracowników „Sztandaru" przyjechało do Lublina na czterdziestolecie. Rysia Smożewskiego nie widziałem już całe lata. Zdradził dziennikarstwo dla teatru. Nic dziwnego — już pracując w „Sztandarze" był głównym organizatorem różnego rodzaju „części artystycznych".

Nie przyjechał Lech Terpiłowski, który w czasie owych „części artystycznych" grywał na pianinie. Zabrakło mi Ryśka Nowickiego, dziś olsztynianina, zabrakło też Edmunda Grzybowskiego długoletniego sekretarza redakcji, i Edwarda Adamiaka, trzeciego z kolei redaktora naczelnego (Ci dwaj ostatni chyba są już dzisiaj na emeryturze).

Oczywiście z ludźmi różnie bywa. Są tacy, którzy nie lubią wracać do przeszłości, dla niektórych praca w „Sztandarze" mogła być tylko epizodem. A poza tym — bądźmy szczerzy — nie zawsze i nie wszystkie wspomnienia bywają najmilsze...

Niemniej sądzę, że warto by przygotować pełną listę dziennikarzy, którzy przez to czterdziestolecie przewinęli się przez pismo. Może nie ma wszystkich dokumentów, ale są jeszcze tacy, którzy pamiętają i pomogliby w tym dziele.

Jubileusz stał się też okazją do przygotowania w małym nakładzie (na papierze z odpadów) specjalnego wydania pisma (format „Kameny"). Teksty są dowcipne, nie obawiałbym się wydrukować ich i w wydaniu normalnym. Ale i tu są drobne błędy, świadczące o tym, że pamięć zawodzi. Obecny lokal „Sztandaru" jest piątym z kolei, a nie czwartym. Tak, tak! Najpierw redakcja mieściła się przy Bernardyńskiej, potem przy Krakowskim Przedmieściu, później przy Hipotecznej (krótko), a następnie przy 3 Maja. W gmachu przy Al. Racławickich znalazła płatne pomieszczenie.

Na koniec — jeszcze raz serdeczne życzenia dla całego zespołu. Bądź co bądź prawie jednej czwartej historii „Sztandaru" bezpośrednio towarzyszyłem... W pięknych latach życia!

15 III. W 3 n-rze „Kameny" opublikowaliśmy artykuł Lidii Wójcik pt. „Żeby nie udławić się azotami". Tekst ów nie spodobał się redaktorowi naczelnemu puławskiego dwutygodnika „Nasze Sprawy", Waldemarowi Ostrowskiemu, który napisał replikę i wysłał ją do redakcji „Sztandaru Ludu", a następnie do redakcji „Kameny". Chcieliśmy tę replikę wydrukować, ale z jednoczesnym ustosunkowaniem się do niej L. Wójcik. Aliści w tzw. międzyczasie W. Ostrowski umieścił swój artykuł (i to na czołówce) w „Naszych Sprawach". Papieru w Polsce zbyt wiele nie mamy, zainteresowanych odsyłam więc do „Naszych Spraw" (przy okazji reklama!), natomiast odpowiedź L. Wójcik ogłosimy w następnym numerze „Kameny". W tej samej sprawie otrzymaliśmy również dwa listy od dwóch puławskich dyrektorów. Lektura tych listów sprawiła, że po raz drugi bardzo uważnie przeczytałem zamieszczony w „Kamenie" artykuł L. Wójcik i doprawdy nie wiem, o co tu właściwie kruszyć kopie? W sumie artykuł ma przecież wydźwięk pozytywny, choć niektóre sformułowania mogą nieco razić. Czyżby jednak w Puławach przyzwyczajono się wyłącznie do samych laurek?

W. Ostrowski w swoim tekście pisze, że „Nasze Sprawy" poświęcają wiele uwagi kulturze i wymienia kilka nazwisk co poważniejszych autorów, którzy w jego piśmie to i owo drukowali. Zgoda! Niemniej w numerze 5 znajduję wiersz pt. „Wyznanie" i czytam w nim takie zwierzenia poetki: „Mam do opowiedzenia / dni w których chora dusza / nie wie jak przeżyć rozpacz / co serce ogarnia / a kwiaty marzeń więdną / tracą wytrzymałość / w potoku słonych łez / umarłe..." Po tej lekturze i moja dusza, choć zdrowa, nie wie, jak przeżyć rozpacz co serce ogarnia! I czymś takim ORGAN ZAŁOGI ZAKŁADÓW AZOTOWYCH „PUŁAWY" karmi swoich czytelników (i czytelniczki)! Żałuję, że dopiero teraz odkryłem tę kopalnię XIX-wiecznego grafomaństwa.

A przecież w Puławach mieszkają wymienieni przez W. Ostrowskiego poeci: P. Gembal, D. Opolski, B. Zadura. Może kt ryś z nich zająłby się kwalifikowaniem wierszy na łamy „Naszych Spraw"? Ostatecznie redaktor naczelny, W. Ostrowski, nie musi znać się na wszystkim!

16 III. Tym razem Zjazd Bibliofilów Polskich odbył się w Lublinie, w którym tak pięknie działa Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki.

Na Zjeździe otrzymałem dwie cenne publikacje: „Sylwetki bibliofilów lubelskich" (nakreślone przez kilku autorów) oraz „Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki w Polsce Ludowej" pióra Ewy Gawareckiej. Obie ukazały się w liczbie 500 egzemplarzy, dzięki subwencjom wydziałów kultury Urzędu Miejskiego i Urzędu Wojewódzkiego. Serdecznie muszę się pokłonić Zakładowi Poligrafii UMCS za niezwykle staranny druk i piękną szatę graficzną. Udział w tym mieli osobiście przede wszystkim Zbigniew Jóźwik i Antoni Dudek, ale nie tylko oni. A już całkiem sensacyjnie brzmi taki napis na 4 str. „Sylwetek": „Maszynopis przyjęto w listopadzie 1984 r., podpisano do druku i wydrukowano w lutym 1985 r.". Trzy miesiące od złożenia rękopisu do wydrukowania książki to..., to się po prostu w głowie nie mieści!

Warto też dodać, że redaktorami obu pozycji byli Maria i Henryk Gawareccy, ludzie szczególnie dla bibliofilstwa zasłużeni.

Jakie sylwetki zaprezentowano? Wymieniam po kolei: Hieronima Łopacińskiego, Franciszka Raczkowskiego, ks. dr. Ludwika Zalewskiego, Wiktora Ziółkowskiego, Stefana Wojciechowskiego, Władysława Jakubowskiego, Franciszka Uhorczaka i Henryka Zwolakiewicza.

Pięciu ostatnich znałem osobiście, odeszli z tego świata jeden po drugim: Ziółkowski w 1978 r., Wojciechowski — w 1980 r., Jakubowski i Uhorczak — w 1981 r., a Zwolakiewicz w 1984 r.

Myślę, że publikacja, o której mówię, pozwoli te szlachetne postacie na dłużej zachować w pamięci pokoleń.

M. A. Jaworski

Michaił Gorbaczow – sekretarzem generalnym KC KPZR

11 bm. odbyło się nadzwyczajne plenum KC KPZR, które jednomyślnie wybrało MICHAIŁA GORBACZOWA na stanowisko sekretarza generalnego KC KPZR. Dotychczasowy sekretarz generalny, KONSTANTIN CZERNIENKO, zmarł 10 bm., piastując tę zaszczytną funkcję od 13 lutego 1984 r. W pamięci zachowamy Go jako wielkiego orędownika pokoju.

Michaił Gorbaczow urodził się 2 marca 1931 r. we wsi Priwolnoje w Rejonie Krasnogwardiejskim Kraju Stawropolskiego w rodzinie chłopskiej. Do partii wstąpił w 1952 r. Ukończył Wydział Prawa Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. Łomonosowa oraz Stawropolski Instytut Rolniczy, uzyskując specjalizację agronoma-ekonomisty.

Członkiem KC KPZR M. Gorbaczow jest od 1971 r. W 1978 r. wybrano go na stanowisko sekretarza KC KPZR, a w 1972 r. — na zastępcę członka Biura Politycznego KC KPZR. Członkiem Biura Politycznego KC KPZR jest od 1980 r.

Dokładny życiorys nowego przywódcy KPZR podała codzienna prasa. Podkreślono, że jest on wybitnym działaczem partii komunistycznej i państwa radzieckiego, odznaczonym m.in. trzema Orderami Lenina.

Agencja Reutera cytuje opinie zachodnich ekspertów, którzy uważają M. Gorbaczowa za bardzo wykształconego człowieka.

Omawiając przemówienie wygłoszone przez M. Gorbaczowa na nadzwyczajnym plenum KC KPZR agencja Reutera podkreśla, że oznajmił on, iż ZSRR będzie konsekwentnie prowadzić politykę odprężenia i na dobrą wolę zawsze dobrą wolą odpowiadać.

Z kolei wiele dzienników austriackich określa M. Gorbaczowa jako człowieka dialogu, pragnącego odprężenia na arenie międzynarodowej. Oficjalny dziennik „Wiener Zeitung" wybija już w tytule: „Negocjator Gorbatow". Pismo stwierdza, że samo utrzymanie terminu rozpoczęcia rozmów w Genewie wskazuje, iż nowemu przywódcy radzieckiemu chodziło o podjęcie tych rozmów.

Brytyjski dziennik „Times" przypomina czytelnikom fragmenty przemówienia M. Gorbaczowa, wygłoszonego na posiedzeniu komitetu spraw zagranicznych Izby Gmin w grudniu ub.r. M. Gorbaczow podkreślił wówczas pokojowe intencje zagranicznej polityki ZSRR i stwierdził brak alternatywy dla polityki pokojowego współistnienia. Zaapelował o wspólne rozwiązywanie spraw bezpieczeństwa, jak też o unikanie kryzysów. Stanowisko ZSRR jest jednoznaczne: rozwiązywanie napięć; załatwianie spraw spornych powinno następować przy stole negocjacyjnym!

Rodaka dzień powszedni...

Sezam na Manhattanie

Roman Kubiak

AUTOSAN stękał i prychał. Za Radomiem rozkraczył się na dobre. Dochodziła godzina piąta, a do celu podróży pozostało prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Niepokój narastał.

— Niech pan coś zrobi. Musimy zdążyć przed ósmą! — lublinianki jęły wymuszać pośpiech na osobie jedynego w tym gronie mężczyzny, z racji obowiązków zawodowych kierującego wycieczkowym autokarem.

Wiedział dobrze pechowy kierowca, że jeśli w ciągu godziny nie uruchomi pojazdu, dosięgnie go niewieści gniew.

Wiedział dobrze pechowy kierowca, że jeśli spóźni się, jeśli przed godziną ósmą nie dotrze do Łodzi, tedy cała eskapada bierze w łeb: można wracać do domu.

Nie miał wyboru. Ukradkiem, spoglądając na zegarek, wczołgał się pod autobus, grzebał w zapapranych smarem bebechach wozu: wił się jak w ukropie. A one stały przy drodze, owładnięte jedną tylko myślą, jednym żądaniem:

— Musi pan zdążyć! Musi, musi...

Nie miał wyboru. Zdążył. Brudnymi rękoma ujął kierownicę — bo na mycie nie stało czasu. Ruszył. Niewiasty odetchnęły z ulgą.

Pędzili do Łodzi. Po drodze wyprzedzili turystyczny autokar z Chełma, dwa z Radomia. Za Piotrkowem dogonili drugi lubelski wehikuł. Wszyscy gnali do Łodzi, wszyscy musieli zdążyć przed ósma — wszystkie żeńskie wycieczki.

Parking w śródmiejskiej dzielnicy, zwanej Manhattanem, ledwie mieścił stłoczone autokary. Byli już goście z Mielca, Bydgoszczy, Poznania, Konina, Rzeszowa, Kwidzynia, Tarnobrzega, Płocka, Skierniewic, Olsztyna...

W równiutkim szeregu stały berliety z renomowanych biur podróży, zakładowe autosany, mikrobusy zbiorczych szkół gminnych, pegeerów, pomów...

W Łodzi mówi się: „Jeziorany przyjechały". Od poniedziałku do soboty, codziennie te same obrazki: tłumy przyjezdnych pod drzwiami Spółdzielczego Domu Handlowego „Central" — ponoć najlepiej w Polsce zaopatrzonego sklepu; regionalne wycieczki buszujące po ulicy Piotrkowskiej — ponoć najdłuższym domu towarowym w kraju; totalne pustoszenie łódzkich sklepów.

Od kilku lat inaczej wygląda turystyczna mapa Polski. Już nie Kraków, Częstochowa czy Łańcut, dominują w wycieczkowych programach, ale... Łódź i Katowice. Kiedyś do Łodzi jeździło się co najwyżej na służbowa delegacje, albo za karę. Anegdota głosiła, że w pewnym prowincjonalnym konkursie krajoznawczym zwycięzcy ufundowano wycieczkę do Łodzi dla jednej osoby, pokonanym zaś, podobne wycieczki, lecz dla całych rodzin. Dziś biura podróży robią kasę na zbiorowych wyprawach do „Centralu". W ubiegłym roku, tuż przed świętami, konińscy spece od turystyki prasowymi ogłoszeniami zapraszali na: „Spotkanie z Mikołajem, połączone z udanymi zakupami w łódzkim »Centralu«".

Przyjemne z pożytecznym...

Łódź, godzina 7.50. Turyści wychodzą z autokarów. Zaspane oczy, ziewające usta. Dołączają do tasiemcowego ogonka u stóp domu handlowego. Napięcie rośnie. Setki oczu wpatrzone we wskazówki zegara zawieszonego na rogu gmachu. Jeszcze trzy, dwie, jeszcze minuta. Kilka osób niecierpliwie drepce od głównego do bocznego wejścia: gdzie otworzą wcześniej? Chyba jednak główne!

Godzina 8.00. Poszli! Tempo znakomite, wszyscy razem: młodzi, starzy, kobiety, dzieci. Panie, mimo zaawansowanego wieku i także zaawansowanej tuszy, osiągają doskonałe wyniki na krótkich dystansach. Już opanowali parter, wpadają na schody! Na czele peletonu siwy pan w berecie, ale dochodzą go młodsi: ucieczka zlikwidowana. Sadzą po dwa, trzy stopnie. Ktoś gubi czapkę, ktoś wplątał guzik płaszcza w siatkę rywalki. Starsza kobieta rezygnuje z laski, by kontynuować pogoń za czołówką. Wypieki na twarzach. Pasja i rutyna. Siła i spryt. Obłęd.

Tymczasem na parkingu kierowcy autobusów kończą jeść śniadanie.

— Który to już raz z wycieczką do Łodzi?

— Drugi raz w tym tygodniu. A razem to będzie... — kierowca jelcza macha ręką.

— Gdzie później jedziecie?

— Nigdzie więcej. Wracamy do domu. Czekam tu do szesnastej. Zdrzemnę się, potem pogramy w karty.

— Z kim?

— Panie, my tu się prawie wszyscy znamy — wskazuje na szoferską brać w sąsiednich autokarach.

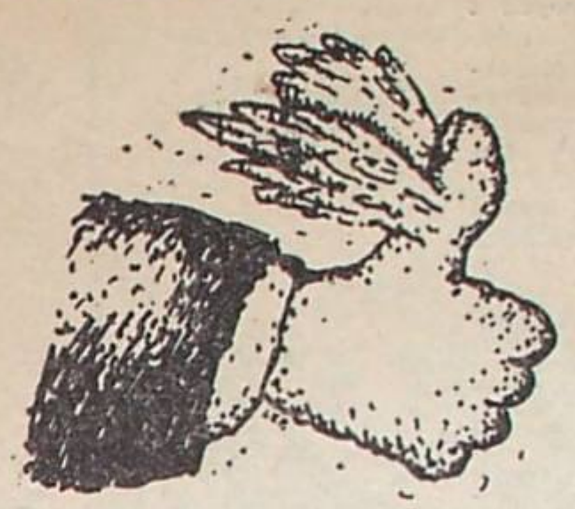

Rys. Adam Lep

— Co dzisiaj zabierzecie?

— Wszystko, co będzie. Na pewno będą bele materiałów, buty, suszarki, dywany, zegary, kurtki, talerze, koszule... Modlę się, żeby nie było garnków. Kiedyś zawaliłi mi wóz garnkami i kociołkami — takimi po pięćdziesiąt litrów. Cała drogę toto dzwoniło, że uszy pękały. Albo rowery. To już koniec świata. Patrzę ja sobie, a tu moi wracają prowadząc rowery. To ja mówię, że nie pojadę, bo nie ma miejsca. A te jak na mnie wsiadły! Panie, trzydziestu bab pan nie zakrzyczysz!

— I co?

— Pojechałem. Ale potem, w lasku, to staliśmy chyba z godzinę, bo nie sposób było wyjść za potrzebą.

— A pan nie korzysta z okazji?

— Po co? Trzy razy zabrałem do Łodzi moją kobitę i zakupy mam z głowy. Teraz czekam na kurs do Katowic — po cięższy sprzęt. Lodówka mi nawala.

— To w Katowicach można kupić lodówki?

— A coś pan z księżyca spadł? Ludzie na tym interesie już dawno porobili fortuny. Najlepiej zapytaj pan tego szofera z berlieta, on ma łeb do takich spraw.

I rzeczywiście. Dostałem wykład z tematu: co, gdzie, po ile. Wiem, co jedzie do Radomia, Lublina, Bydgoszczy. Wiem, że Chełm nie gardzi niczym. Wiem jeszcze to i owo — może się przydać.

Spenetrowawszy „Central", turyści wyruszają na szlak ulicy Piotrkowskiej. Muszą zwiedzić jeszcze „Uniwersal", „Modę Polską", „Delikatesy", firmowy sklep „Wólczanki". Od czasu gdy na Piotrkowskiej obowiązuje zakaz parkowania, łatwo rozpoznać przyjezdnych: własnoręcznie targają swoje skarby. Cóż to za wspaniałe widoki...

Czasem trafi się okazja ekstra: bezkartkowa czekolada, kawa, cytrusy — o rajstopach nie wspomnę. Trzeba wtedy przyhamować w ogonku, bohatersko odpierając ataki tubylców, coraz mniej tolerancyjnych w stosunku do gości. Doszło do tego, że łodzianie w specjalny sposób ostemplowują swoje bony na mięso — żeby dyskryminować przyjezdnych. I gdzie tu staropolska gościnność?

Dziś wyjątkowe szczęście miała wycieczka z Chełma. Szli właśnie ulicą, kiedy przed księgarnią formowała się kolejka. Stanęli. Wszyscy brali, więc wzięli i oni. Zawiozą do domu umowę subskrypcyjną na „Słownik języka polskiego". Też towar...

Jeszcze przed południem odjadą pierwsze autokary. Kremowy wehikuł P.T. „Brda" zatrzyma się w Pabianicach: po żarówki i pościelowe. Za nim podąży śliczny autokar kwidzyńskiej „Celulozy". O zmroku opustoszeje parking na Manhattanie. Umęczeni turyści zasną w wygodnych fotelach. Tyle było wrażeń, tyle atrakcji! Jutro trzeba koniecznie opowiedzieć koleżankom w biurze. I trzeba pokazać, co się zdobyło. Niech zzielenieją z zazdrości!

Okolice sztuki

Ora et colabora

JERZY Duda Gracz nie pojawił się 8 lutego na otwarciu swojej okazałej (około 140 prac) wystawy indywidualnej w „Zachęcie", wyjaśniając sprawę na odwrocie wydrukowanego zaproszenia:

„Serdecznie witając na wystawie uprzejmie informuję, że podobnie jak w innych galeriach, nie spotkamy się w „Zachęcie" na wernisażu, ani oficjalnym otwarciu, gdyż prezentacja obrazów, dzielenie się własną pracą z ludźmi nie jest żadnym powodem do towarzyskich uroczystości i powinno być więcej chlebem powszednim a mniej świątecznym plackiem".

Od około trzech lat obserwujemy w kraju pojawianie się nowego obyczaju: otwierania wystaw bez udziału autora, albo też z fizyczną zaledwie jego obecnością — krótkotrwałą i jakby zakłopotaną. Początkowo miało to posmak demonstracyjki politycznej o wektorze centrystycznym. Artysta dawał do zrozumienia, że nie na tyle oszalał, by zamykać się na cztery spusty w azylu własnej pracowni i tym sposobem poprowadzić skruszone władze do Canossy, a jednocześnie oświadczał niejako, że nie ze wszystkim się zgadza, jest mu przykro i po części nawet rozumie racje swoich opozycyjnie rozdygotanych kolegów, którzy z obrazami zstąpili w labirynty katakumb, gdzie zresztą zamiast podpłomyków, wody źródlanej, włosienicy i farb przemyskich spotkali stół nieźle zastawiony wiktuałami, „Rembrandtami", szczecią borsuczą i materiałami firmy „Kodak", niedostępnymi dziś w sklepach.

Zachowania takie straciły już przecież na powabie, ich pryncypialne motywacje uległy zatarciu i sądzić można, że z chwilą pojawienia się w handlu win różnych a w zarządzeniach — realizmu, powróci i tradycja wernisaży, które zresztą przed wielu laty odbywały się jako spotkania wybranych osób, dzień przed oficjalnym otwarciem danej ekspozycji. O ile się nie mylę, to w Lublinie ostatnie takie przyjęcie zgotował przyjaciołom, znajomym i mecenasom Władysław Filipiak — w 1957 roku, z okazji 25-lecia twórczości.

Nieobecność Dudy Gracza w „Zachęcie" należy chyba jednak rozumieć inaczej: zgodnie z cytowanym wyjaśnieniem artysty, ale i jeszcze trochę inaczej, nie sięgając wszak wcale w wysokie rejony postawy ideologicznej czy choćby osobowości tego człowieka.

Nie znam poglądów Dudy Gracza, ale do wyrobienia sobie jakiejś opinii w tym względzie wystarczą mi jego obrazy, np. „Autoportret (Ora et colabora)" z 1982 roku, w którym przedstawia się on w czapce uformowanej z „Trybuny Robotniczej", na piersi krzyżyk mając i odznaczenia państwowe. Módl się i współpracuj — czyż może być dziś bardziej racjonalna propozycja na życie dla Polaków? Po prostu racjonalna, wcale nie „polityczna". Owszem, sporo w tym wizerunku gorzkiej ironii, jeden z krytyków uznał nawet papierowy piróg za „czapkę hańby", ale nie sądzę, by najważniejsze przesłanie obrazu kształtowało się w tej właśnie sferze. Twórczość Dudy Gracza to wielka, pracochłonna mozaika, złożona z okruchów i spraw zasadniczych naszej wspólnej rzeczywistości, obserwowanej przez artystę nie tylko uważnie, ale i poważnie — choć smutny uśmiech u odbiorcy wywołuje niejedno z jego płócien.

Nie znam bliżej Dudy Gracza, tylko raz z nim rozmawiałem, ale biorąc pod uwagę chronologię, poetykę i sensy tej całej twórczości, mogę powiedzieć, że jest to człowiek niezależny, chyba i krnąbrny. Kiedy zaczynał jako malarz, niewielu miał zwolenników. Literatura, karykatura, trywialność i ruja, wiek XIX i ekspresjonizm niemiecki w rodowodzie (wiadomo, Katowice) — oto typowe epitety, jakimi obrzucano artystę w sferach tzw. awangardy i przylutowanej do niej krytyki. Z kolei treść niektórych obrazów budziła poważne wątpliwości w urzędach kontroli prasy i widowisk. Ale Duda nie przejmował się tym lamentem, szedł w Polskę z wystawami jak jeździec Apokalipsy, rozwalając po drodze estetyczne mity środowiskowe i zyskując wielką popularność w różnych kręgach społecznych. W końcu i nieprzyjazna mu krytyka zmiękła, chyba przestraszona, że nie zdąży „załapać się na ten pociąg", owszem, dziwny jakiś, o rany! — wcale nie anglosaski czy japoński w liniach, ale poruszający się przecież żwawo po krajowych szlakach, a nawet dalej. Doszło i do tego, że w 35-lecie Polski Ludowej artysta otrzymał nagrodę II stopnia Prezesa Rady Ministrów.

Faktem wszak pozostaje, że o Dudzie w ogóle nie wspomina się w znanej pracy Alicji Kępińskiej „Nowa sztuka, sztuka polska w latach 1945—1978", co nawet zrozumiałe, bo za nową sztukę polską autorka de facto uznaje te zjawiska, których korzenie genetyczne wyrastają w większości z obcej gleby. Natomiast w książce Janusza Boguckiego, uhonorowanej (chyba za oryginalne proporcje materiału) w ubiegłym roku nagrodą „Miesięcznika Literackiego", nazwisko artysty wymienia się tylko raz, przy omawianiu „nowej fali" rysunku prasowego lat siedemdziesiątych: „Jerzy Duda Gracz (uprawiający również malarstwo o charakterze satyrycznym)". Również! o charakterze satyrycznym! jest takie pisanie!

Nie w tychże jednak rejonach, jak napomknąłem, poszukiwałbym dodatkowej odpowiedzi na pytanie o przyczyny nieobecności Dudy Gracza na oficjalnym otwarciu jego wystawy w „Zachęcie" (i w innych miejscach). Może to śmieszne, ale przypuszczam, że artysta czułby się po prostu kiepsko, strasznie i idiotycznie, gdyby w konwencjonalnym kontredansie prawiono mu komplimenta, wręczano kwiatki, zachęcano do podania głosu — w otoczeniu tłumu, który nie zdając sobie z tego sprawy, wypełzł był właśnie na tę okazję z ram jego obrazów, idąc m.in. za owym jegomościem z „Metamorfozy", wciskającym ukradkiem pod siedzenie czerwoną legitymację, by zastąpić ją poświęconą książeczką.

IJK

Awans

Dokończenie ze str. 1

nych jednocześnie w różnych miejscowościach powiatu. Za to zimą było więcej wolnego czasu. Miałem dobry i ofiarny kolektyw pracowników, których dobierałem przez kilka lat. Nasza praca przynosiła efekty. Zaplanowane zadania były zawsze wykonywane, gdyż, jak mi się wydaje, potrafiliśmy sobie nieźle organizować roboty. Zwierzchnia władza wojewódzka i władze powiatowe były zadowolone z naszej pracy, a wyrazem tego były nagrody, wyróżnienia i odznaczenia państwowe.

W lipcu 1958 r. miałem 36 lat, w domu dwójkę udanych dzieciaków, którymi opiekowała się babcia; żona również pracowała i zdążyła się przyzwyczaić do mojej ciągłej nieobecności w domu.

Pamiętam dokładnie ten dzień. 28 lipca na godzinę 13. zostałem wezwany do przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Stawiłem się punktualnie w gabinecie przewodniczącego i zastałem tu również pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR. Zaczęliśmy mówić o wykonywanych właśnie robotach drogowych i mostowych.

W toku przedłużającego się spotkania zorientowałem się, że nie chodzi o nic złego, gdyż sekretarz zaczął stawiać pytania dotyczące mnie osobiście; ile zarabiam miesięcznie, jaki jest mój stan rodzinny, czy jestem z pracy zadowolony... Wreszcie przewodniczący powiedział, iż chodzi o mój awans i przeniesienie mnie na stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego.

Znałem trochę to przedsiębiorstwo, jedyne przedsiębiorstwo budowlane na terenie powiatu. Podlegało ono Prezydium PRN, a nadzorowane było przez Wojewódzki Zarząd (rodzaj zjednoczenia) mający siedzibę w mieście wojewódzkim. Od dłuższego już czasu pracowało ono bardzo źle. W marcu 1958 r. uczestniczyłem w pracach komisji powołanej przez przewodniczącego Prezydium PRN, która badała sytuację w przedsiębiorstwie i dlatego trochę o nim wiedziałem. Np. to, że w minionym roku „wypracowało" ponad 2 mln zł strat, panował tam bałagan i niegospodarność, milicja miała pełne ręce roboty w związku z kradzieżami, które tam występowały, a lepsi i uczciwsi pracownicy odchodzili stamtąd do innych zakładów.

Byłem prawie zaszokowany tą propozycją.

Odpowiedziałem przewodniczącemu, że to nie awans, ale chyba jakąś karę na mnie nakłada posyłając mnie tam do pracy. Stwierdziłem, że się nie znam na rządzeniu przedsiębiorstwem budowlanym, że moja osoba nie uzdrowi przedsiębiorstwa, że jestem drogowcem, lubię moją pracę i nie chcę jej zmieniać.

Wówczas sekretarz wystąpił z takim mniej więcej monologiem:

— Towarzyszu Y. znamy was, obserwujemy waszą pracę, wiemy, co mówią o was ludzie i dlatego proponujemy wam tę pracę. W tym przedsiębiorstwie dzieje się bardzo źle. Za pierwsze półrocze straty urosły już do ponad 3,5 mln zł. Przedsiębiorstwo buduje cztery szkoły, z których trzy miały zostać ukończone przed nowym rokiem szkolnym, a nie mamy pewności, czy za dwa lata będą gotowe. To samo można powiedzieć o innych budowach. Przedsiębiorstwo wykonuje również wiele robót w dwóch sąsiednich powiatach i na tych budowach jest jeszcze gorzej. Bank odmówił kredytowania przedsiębiorstwa i żąda pokrycia strat z budżetu powiatu. Tam nie mają już pieniędzy na płace dla ludzi! Co robić? Chyba wam zabrać pieniądze przeznaczone na drogi i dać na zmarnowanie w tym przedsiębiorstwie. Wielu ludzi ucieka z tego przedsiębiorstwa. Jedyny młody inżynier, który pracował i z którym wiązaliśmy pewne nadzieje, odszedł i w ogóle wyjeżdża od nas, nie mogliśmy go zatrzymać. Obaj zastępcy dyrektora, którzy chyba są najbardziej winni, już nie pracują, odwołaliśmy ich ze stanowisk. Dyrektor jeszcze tam jest, bo nie mogliśmy wszystkich wyrzucić, musiał ktoś zostać. To dobry chłop, ale to stanowisko przerasta jego możliwości i trzeba go również zwolnić. Rozmawialiśmy w wojewódzkim zarządzie, chcieliśmy, aby nam kogoś dali do przedsiębiorstwa, ale nie ma kadr technicznych i kandydatów na dyrektorów. Powiedzieli nam, że można rozwiązać przedsiębiorstwo, wyrównać straty i cały majątek przyłączyć do innego przedsiębiorstwa spoza naszego terenu, ale my chcemy przecież mieć własne przedsiębiorstwo. Chcemy więcej budować — mieszkania, szkoły, powiatowy dom kultury, kto to nam będzie robił? Zastanówcie się, towarzyszu Y. Jeśli nie chcecie być dyrektorem, to pójdziecie tam jako zastępca dyrektora, zatrzymamy jeszcze trochę tego M., popracujecie razem, ale nie wiem, czy to wam wyjdzie. Jest to moja partyjna prośba, mówię prośba, nie polecenie, do was, członka partii. Pójdziecie już od 1 sierpnia, bo sprawa jest pilna. Mówicie, że to dla was nie awans? Traktujcie to jako awans moralny, bo my na was liczymy, na was stawiamy, wam wierzymy. Komu damy te miliony, które musimy z budżetu zapłacić za straty w przedsiębiorstwie?

Co miałem mówić na takie dictum?

— Towarzyszu sekretarzu — oświadczyłem — pójdę do przedsiębiorstwa od 1 sierpnia, ale pozwólcie, że się zastanowię na jakie stanowisko. Powiem to przewodniczącemu pojutrze rano. Chciałbym was jeszcze prosić o możliwość powrotu na obecne moje stanowisko od 1 stycznia przyszłego roku, jeżeli moja praca nie przyniesie efektów w ciągu tych pięciu miesięcy.

Zgodzono się z tym. Przewodniczący powiedział jeszcze, abym pojutrze o godz. 8. zgłosił się z kandydatem na moje obecne miejsce, którego miałem dobrać spośród pracowników Wydziału. Pożegnałem się i wyszedłem z gabinetu.

Na ulicy wsiadłem na moją jawę i pojechałem natychmiast do przedsiębiorstwa. Znajdowało się ono na peryferiach miasta. Na obszernym terenie, ogrodzonym prowizorycznie drewnianymi płotkami i częściowo drutem kolczastym, widniało kilka drewnianych baraków, znajdowały się tam również składowiska materiałów budowlanych oraz stały samochody ciężarowe, ciągniki i różne maszyny budowlane. W odległości około 200 m od bramy wjazdowej do przedsiębiorstwa skończyła się twarda nawierzchnia ulicy i dalej jechałem motocyklem jak po trasie rajdowej. Droga była pełna głębokich kolein i wgłębień, a spod kół motocykla unosił się tuman kurzu. Wjechałem w szeroko otwartą bramę i zatrzymałem się przed drzwiami wejściowymi do baraku. Ogarnąłem spojrzeniem znajdujący się obok duży plac, również pełen dołów, kolein, kurzu, na którym stały w nieładzie jakieś wraki samochodów i maszyn. Wyobraziłem sobie to wszystko w okresie deszczów i roztopów: ten dzisiejszy pył gliniasty zmieniony w błoto i te samochody grzęznące w ciężkim gliniastym gruncie. Przecież tu nawet w butach gumowych trudno się będzie poruszać!

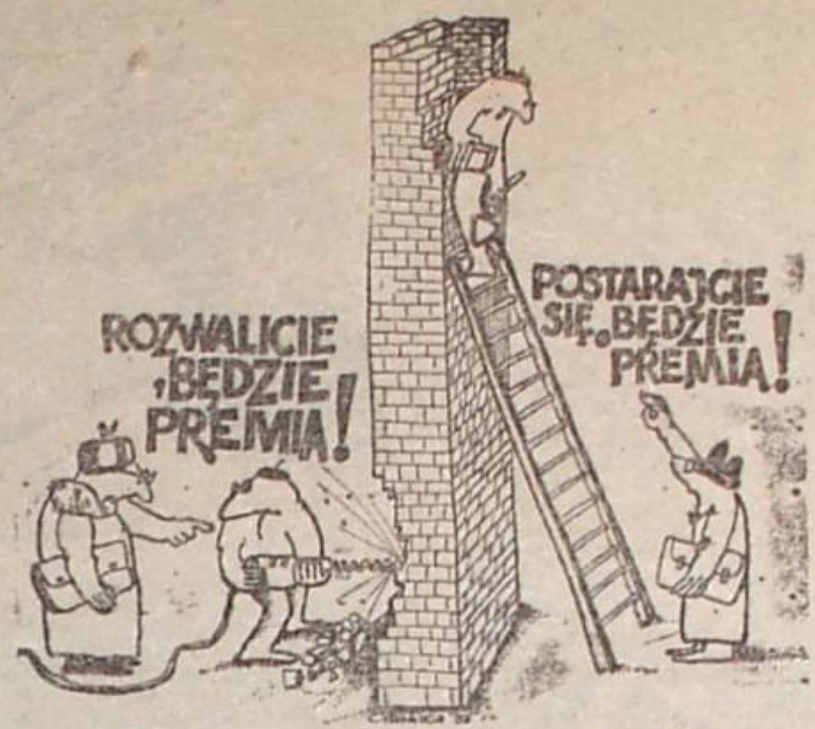

Rys. Zbigniew Cieniuch

Wzdłuż baraku leżały popękane betonowe płyty dachowe, które służyły za chodnik. Takie płyty zagłębione częściowo w wyschniętą ziemię znajdowały się również pojedynczo na placu. Domyśliłem się że były podkładane pod koła samochodów. Nie opodal pod płotem widniał stos połamanych żelbetonowych belek stropowych. To wszystko sprawiało przygnębiające wrażenie. Wiedziałem już, gdzie znajduje się część zmarnowanych przez przedsiębiorstwo pieniędzy, jak również wiedziałem, jakie będzie jedno z moich najpilniejszych zadań w tym przedsiębiorstwie.

Byłem tu na początku marca wraz z komisją badającą ubiegłoroczne wyniki działalności przedsiębiorstwa, ale jakoś nie zwróciłem na to uwagi. Być może, że leżący wówczas śnieg pięknie to wszystko przykrył.

Dyrektora M. bliżej nie znałem. Spotkałem się z nim raz wówczas w marcu i widziałem go kilka razy na jakichś zebraniach. Sprawiał wrażenie człowieka małomównego i stępiałego. Jechałem do niego z zamiarem przeprowadzenia przyjacielskiej, szczerej rozmowy o przedsiębiostwie i o mojej tutaj pracy. Myślałem, że popracuję pięć miesięcy jako zastępca dyrektora, że razem potrafimy dźwignąć przedsiębiorstwo, zaangażować dobrych odpowiedzialnych ludzi, a potem będę mógł wrócić do siebie. Przyznam, że bałem się samodzielnego dyrektorskiego stanowiska w przedsiębiorstwie budowlanym, bo nie miałem w tym zakresie ani doświadczenia, ani niezbędnej wiedzy.

Biuro znajdowało się w obszernym baraku. Po wejściu do sekretariatu, siedząca za biurkiem pani powiedziała mi, że dyrektor jest „zajęty" i nikogo nie przyjmuje. Zapytałem, kto jest u dyrektora, czy ma jakąś naradę i czy mogłaby mnie umówić z dyrektorem za godzinę lub dwie? Odpowiedziała, że nie ma żadnej narady, ale dyrektor ma pilną pracę. Wówczas otworzyłem drzwi do pokoju dyrektora i zobaczyłem go za biurkiem.

Przeprosiłem za wtargnięcie i powiedziałem, że przyjeżdżam z Prezydium PRN w pilnej i ważnej sprawie, że muszę z dyrektorem rozmawiać koniecznie dzisiaj, jeżeli nie teraz, to później.

Usłyszałem jedno słowo „proszę". Pan M. był zagłębiony w papierach i nie podniósł głowy.

Powiedziałem „dzień dobry", wyciągnąwszy rękę na powitanie. Wówczas spojrzał na mnie i, siedząc, podał mi nad biurkiem końce palców. Śmieszne, ale przypomniała mi się wówczas moja babcia, która podawała mi w ten sposób swoją rękę do ucałowania, gdy byłem chłopcem.

Ponieważ nie usłyszałem zaproszenia, abym zajął miejsce, wziąłem krzesło stojące obok przy stole i przystawiłem do biurka. Dyrektor M. wciąż wertował papiery.

Usiadłem i przedstawiłem mu całą rozmowę, jaką miałem z sekretarzem i przewodniczącym, nic nie tając. M. cały czas milczał. W momencie, gdy mówiłem o ewentualnym odwołaniu go ze stanowiska, podniósł na chwilę oczy i spojrzał na mnie.

Na moje pytania, jak sobie wyobraża pracę ze mną, czy mnie chce w przedsiębiorstwie, na jakim stanowisku mnie widzi? — powiedział tylko: „Jak chcesz się pan męczyć, to pan przychodź" i nic więcej, ani słowa.

Byłem zdziwiony taką rozmową i takim przyjęciem. Spodziewałem się zupełnie czegoś innego. Czułem się jak intruz lub natrętny petent. Przez dłuższą chwilę milczałem myśląc, że coś jeszcze usłyszę. Potem wstałem, odstawiłem krzesło na miejsce i powiedziałem „do widzenia panie dyrektorze". Usłyszałem „do widzenia".

W jakiś czas później, gdy pracowałem już w przedsiębiorstwie, opowiedziałem głównemu księgowemu o mojej rozmowie z panem M. Usłyszałem wówczas, że był to jego normalny styl bycia. Nigdy nie patrzył rozmówcy w oczy, nigdy nie prosił pracownika, aby usiadł, nigdy nie podjął konkretnej decyzji. Był to dość prymitywny człowiek, z zawodu cieśla, którego awansowano przed paru laty na stanowisko dyrektora (awanse takie były modne w latach pięćdziesiątych). Zdobywał wiedzę zaocznie w technikum budowlanym i był chyba w połowie drogi do uzyskania tytułu technika. Jak twierdzili pracownicy, uczył się przeważnie w biurze i był stale „zajęty".

Jechałem powoli z przedsiębiorstwa i nie wiedziałem dokąd. Cały mój plan zajęć i rozkład jazdy został tego dnia przewrócony. Pierwszy raz od wielu dni nie chciało mi się jechać na budowy. A przecież na moich drogach i mostach roboty trwały prawie do zmierzchu. Usiłowałem zebrać myśli, ale w głowie miałem chaos.

Wróciłem do domu. Mieszkanie było puste, bo rodzina była na wsi „na letnisku", w wynajętym mieszkaniu. Niedaleko — 30 km jazdy motocyklem. Przebrałem się, zrobiłem sobie „kawalerski" posiłek i pojechałem do żony i dzieci. Żona, podobnie jak ja, przyjęła z niechęcią ten mój „awans". Tylko chyba inaczej to odebrała. Ja się po prostu bałem tej pracy, a ona powiedziała: „Nie miały dzieci ojca przez co najmniej pół roku, teraz nie będą miały przez cały rok".

I chyba miała rację.

Wciąż byłem jakby oszołomiony, przeróżne myśli krążyły mi po głowie, chwilami chciałem odmówić przyjęcia nowej pracy, ale przecież powiedziałem sekretarzowi, że pójdę do przedsiębiorstwa i to od 1 sierpnia. Musiałem w ciągu tych trzech dni zakończyć moją działalność w Wydziale i tak ją ukierunkować, aby wszystko właściwie przebiegało dalej, a potem rozpocząć nową działalność w przedsiębiorstwie, lecz nie wiedziałem, jak to zrobić. Najgorsze było to nowe. Szedłem do zupełnie nie znanych mi ludzi z obawą, jak mnie przyjmą. Szedłem na stanowisko dyrektora, bo taką decyzję podjąłem natychmiast po rozmowie z panem M. Jego podkomendnym nie mógłbym być ani jednego dnia.

Następnego dnia, jadąc do pracy, byłem już trochę oswojony, z moją nową sytuacją. W biurze zebrałem najbliższych współpracowników, poinformowałem ich o tym, że kończy się nasza współpraca, ustaliliśmy, kto ma być moim następcą a raczej zastępować mnie przez okres pięciu miesięcy. Usłyszałem wówczas dużo przyjemnych słów pod moim adresem. Mówili, że życzą mi powrotu do Wydziału, ale nie wierzą w to, bo sekretarz i przewodniczący — ich zdaniem — nie mogli wybrać lepszego kandydata na dyrektora przedsiębiorstwa. Zatelefonowałem również do kierownika Wydziału PWRN, mojego szefa „po pionie". Poinformowałem go, że władze powiatowe przenoszą mnie do przedsiębiorstwa. Podziękował mi za pracę i życzył powodzenia.

30. lipca o godz. 8 zgłosiłem się do przewodniczącego z kandydatem na mojego następcę. Powiedziałem, że jestem gotów do przyjęcia obowiązków dyrektora w przedsiębiorstwie oraz przedstawiłem i zaopiniowałem kandydata na nowego kierownika Wydziału. Przewodniczący wezwał przez telefon kierownika Wydziału Kadr, a w międzyczasie zadał kilka pytań mojemu następcy. Po przybyciu kierownika przewodniczący wydał mu takie polecenie: „Odwołać ze stanowiska dyrektora M. z dniem 31. lipca i skierować na urlop wypoczynkowy. Przenieść tow. Y na stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa od dnia 1. sierpnia i ustalić maksymalne płace miesięczne przewidziane w tabeli płac dla tego typu przedsiębiorstwa. Obecnego tu tow. K. powołać od 1 sierpnia na stanowisko p.o. kierownika Wydziału z płacą miesięczną taką jaką ma tow. Y. Dokumenty przygotować mi do podpisu na godz. 12 i jeszcze dzisiaj doręczyć. I jeszcze jedno, jak będziecie, kierowniku, w przedsiębiorstwie, po wręczeniu odwołania M., powiedzcie, niech 1 sierpnia o godz. 9. zbierze się Rada Robotnicza, Rada Zakładowa, Egzekutywa POP i ważniejsi kierownicy przedsiębiorstwa. Powiedzcie to głównemu księgowemu albo nawet sekretarce. Pojedziemy tam z tow. Y i wprowadzimy nowego dyrektora".

Wyszliśmy z gabinetu.

Tego samego dnia otrzymałem pismo przenoszące mnie do przedsiębiorstwa. Moje miesięczne uposażenie miało wynosić 3800 zł. Była to rzeczywiście maksymalna stawka. Miałem jeszcze prawo do premii, ale trzeba ją było wpierw wypracować. W obecnej sytuacji premie nikomu w przedsiębiorstwie nie przysługiwały. To dyrektorskie uposażenie było dużo wyższe od mojego dotychczasowego, ale jednocześnie mniejsze od moich zarobków łącznie z należnościami za opracowywaną dokumentację techniczną.

W ciągu ostatnich dwóch dni lipca zakończyłem moją działalność w Wydziale, wydałem ostatnie instrukcje i polecenia. Uroczystego pożegnania nie było z powodu braku czasu. Żal mi było rozstawać się z ludźmi, z którymi długo pracowałem, których ceniłem i lubiłem, chociaż nie zawsze byłem dla nich dobrym wujaszkiem.

(Dokończenie nastąpi)

Jan Paweł II w karykaturze rysowników zachodnich

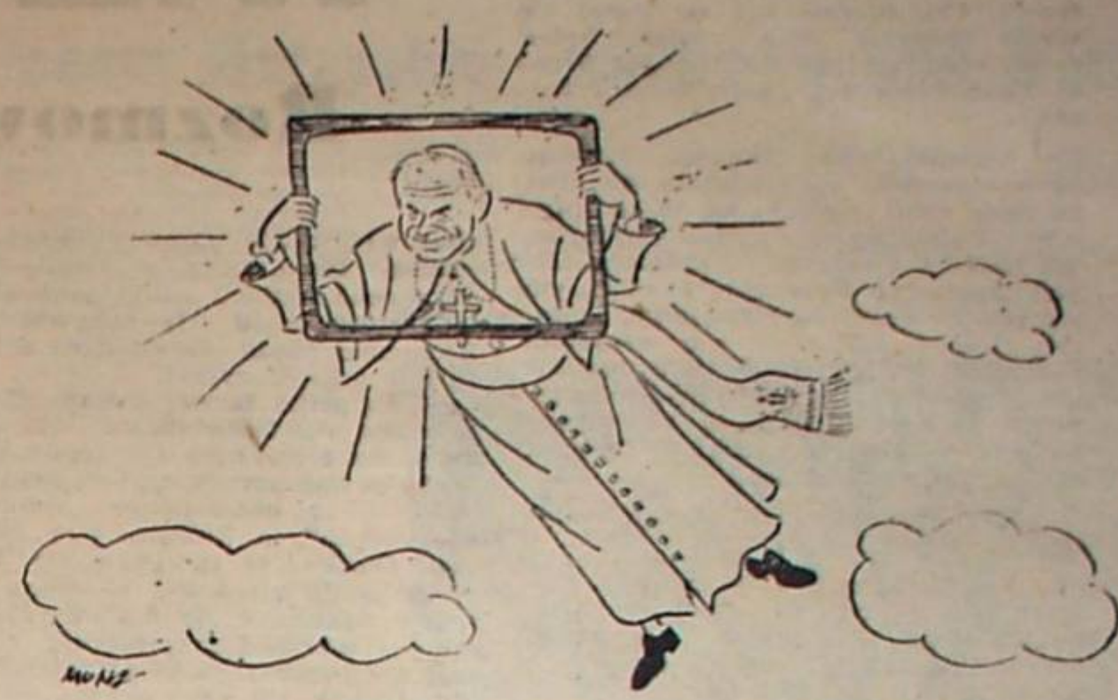

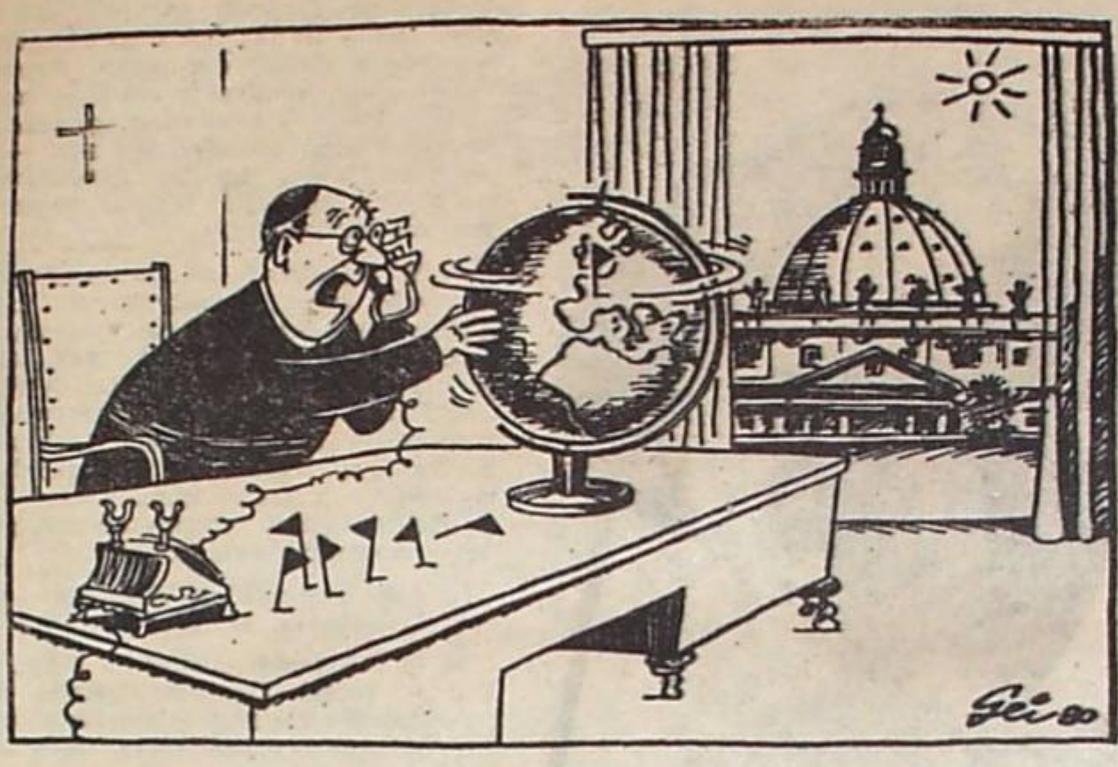

W poprzednim n-rze „Kameny" pisaliśmy, że z wystawy karykaturzystów monachijskich zorganizowanej w sali Domu Kultury LSM w Lublinie (m. in. i przez naszą redakcję) skradziono rysunek z papieżem. Chodzi o rysunek pierwszy od góry, którego twórcą jest Horst Haitzinger. Podpis pod tym rysunkiem brzmi: „Chciałbym być także tak popularny jak ty!" Reprodukując teraz ów rysunek, prosimy czytelników o pomoc w odnalezieniu skradzionego.

Trzy pozostałe rysunki wybrałem z albumu pt. „Hauptsache, der Papst ist katholisch" (Najważniejsze, że papież jest katolicki). Album ten ukazał się w Salzburgu.

Rysunek z prawej stanowi dzieło Eckarta Munza. Podpis: „Gwiazda telewizyjna — supergwiazda". Autorem prac zamieszczonych u dołu jest Hans Geisel. Oba rysunki mają podpisy: Pierwszy: „Chwileczkę, zaraz zobaczę, gdzie w tej chwili znajduje się Ojciec Święty!". Drugi: „Przywiozłeś broń?" (tak pyta papieża nędzarz z Filipin).

I jeszcze ciekawostka: wspomniany album otrzymałem w prezencie od pewnego pisarza katolickiego z Monachium. Wręczając mi go, powiedział: „Wiem, że papież z Polski ma duże poczucie humoru!".

Mam prawo oczekiwać, że czytelnicy „Kameny" również! **(m.a.jaw.)**

(Reprodukcje Arkadiusza Karonia)

Janusz B. Roszkowski

BYSTRA

Szedłem w góry
wzdłuż potoku,
który z głośnym mlaskaniem
przeżuwał kęsy tłustej gliny
i dławił się
za szybko połykanymi kamieniami.
Słyszałem, jak burczy mu w brzuchu
z głodu,
którego nie mogłyby zaspokoić
wszystkie wiosenne burze.
Podobno porwał kiedyś krowę
za rogi, wymiona
i ciągnął w dół.
Może dlatego tak ryczy,
może dlatego
pieni się i bryzga mlekiem?

NOSAŁ

Moja głowa
kołysze się między koronami drzew,
a Droga Mleczna
jest przedłużeniem ścieżki wiodącej w dół —
i po raz pierwszy widzę z góry
ziemię budzącą się o świcie
z gębą obrzękłą i zaspaną,
czeszącą rozczochrany łeb
nad pękającym lustrem wody.

Dolina, jak ogromny stół,
okryta jest poranną mgłą,
przez którą pobekują owce.

KROKIEW

To mógłby być jakikolwiek czas,
przed dwoma wiekami
lub w dniu moich narodzin,
dzisiaj lub jutro,
w dniu mojej śmierci
lub dwa wieki później,
gdyby był czasem
krystalicznych źródeł, czystych potoków,
zielonych wzgórz, błękitniejących gór
w upalnym słońcu dzisiejszego popołudnia
gdy na kamieniu spoczywa ślimak,
a po ścieżce przebiegają mrówki
oddając się swojej ekstatycznej religii.

* * *

Asi

Urodziłaś się
czwartego sierpnia, nad ranem,
gdy czuwałem
nad tamtą nocą i tyloma innymi nocami,
starając się wyczytać z gwiazd
choćby kolor twoich oczu,
ale wszystko zaczęło się plątać, zacierać,
kierunki, odległości
między kobietą a mężczyzną,
między matką a ojcem a dzieckiem,
aż w końcu nie czułem w sobie już nic
poza pustką i samotnością
i zacząłem krzyczeć —
i usłyszałem w sobie drugi krzyk,
i poczułem,
że bije we mnie drugie serce.

* * *

Matce

Uczyłaś mnie widzieć
poprzez swoją ślepotę,
poprzez ciemność,
która okrywała twoje mroki
i zaćmienia;
uczyłaś mnie słyszeć
poprzez to, na co pozostawałaś głucha,
poprzez wszystkie swoje fałszywe tony,
dysonanse;
uczyłaś mnie mówić
poprzez swoją emfazę,
zachłystywanie się słowami,
bełkot;
uczyłaś mnie chodzić
z kulą u nogi;
chciałaś również nauczyć mnie latać,
pokazując jastrzębia,
który miał złamane jedno skrzydło.

* * *

Powiedzmy że to było w samym środku lata
(lub w dzień przed nagłym nastaniem jesieni).
Wieczór zapadał jakby w smudze dymu.
W furtce ogrodu, jak przed bramą raju,
stał pies z ognistą łapą
i wypędzał motyla.
Zagwizdał ptak.
To była odpowiedź
na moje pytanie,
będąca odpowiedzią
na twoje pytanie —
Pytania i odpowiedzi
krzyżowały się również w ciele psa
od pyska do końca ogona.

WIZJA TEATRU

Rozmowa z Jerzym Leszczyńskim

— Ostatnio zespół przeszedł przez pasmo rozmaitych reorganizacji, które — jak wieść niesie — miały doprowadzić do korzystnych zmian w sytuacji teatru. Czy istotnie tak się stało? Co uległo zmianie poza nazwą, która brzmi obecnie: Lubelski Ośrodek Sztuki Pantomimicznej Teatr Wizji i Ruchu?

— Ogólnie rzecz ujmując, formuła Stowarzyszenia nie nadążała za tym, co teatr robił. Wiązało się to ze sprawami finansowymi i organizacyjnymi, jak również z zakresu zarządzania. Istniał Zarząd i Dyrekcja, a nad tym wszystkim Walne Zgromadzenie; to dosyć złożona struktura, nie wszystkie posunięcia teatru mogły być realizowane. W nowej sytuacji mamy status domu kultury; poprawiła się przede wszystkim sytuacja materialna teatru, co nie jest bez znaczenia.

— Czy wpłynie to na potencjał artystyczny zespołu?

— Do działalności artystycznej dojdzie jeszcze obecnie formuła upowszechniania. Ale przede wszystkim uda się powiększyć zespół, liczący obecnie 13 aktorów. Jest to sprawa bardzo ważna, w przedstawieniach gra na ogół minimum 15 osób, poza tym specyfika tego zawodu powoduje częstsze, niż gdzie indziej, kontuzje, stąd jesteśmy zmuszeni czasem odwoływać spektakle, albo robić szybkie zastępstwa. Zespół powinien liczyć 22 aktorów, wówczas będzie możliwe stosowanie metody podwójnej obsady, jak również wprowadzanie innych form scenicznych. Według nowej formuły planujemy przygotowanie spektaklu „Wiśniowy sad", ale nie będę jeszcze ujawniał szczegółów związanych z tą realizacją.

— Skoro zaczął pan już o planach... Jak wyglądają te najbliższe zamierzenia teatru, artystyczne i „upowszechnieniowe"?

— Rozpoczyna się remont sali prób, którą wykorzystywaliśmy na przedstawienia studyjne, więc rozjerzeliśmy się za innym miejscem. Poza Chatką Żaka będziemy grać — jak już to praktykowaliśmy — na dziedzińcu zamkowym i chcemy także wykorzystać wirydarz w Lubelskim Domu Kultury, by prezentować tam spektakle dwa razy w tygodniu.

Zamierzamy wznowić współpracę z Filharmonią Lubelską i rozpocząć serię miniatur pantomimiczno-muzycznych. Poza tym planujemy otwarcie w Chełmie, Puławach i Lublinie trzech filii teatru, mających, między innymi, na celu kształcenie przyszłych aktorów-mimów. W ośrodkach tych, prowadzonych przez członków naszego zespołu, odbywać się będą ćwiczenia i realizacje jednego programu w ciągu roku. Nawiązaliśmy współpracę z Gdańskim Ośrodkiem Teatralnym w zakresie prowadzenia warsztatów teatralnych, planujemy także prezentację dokonań tamtego ośrodka w Lublinie. Chcemy ponadto uruchomić otwarte warsztaty teatralne, niezobowiązujące, dla wszystkich zainteresowanych tą sztuką. Zamierzamy w Lublinie reaktywować festiwal sztuki pantomimicznej, który przed laty odbywał się w Szczecinie, może nie od razu w takiej formie organizacyjnej.

— Wszystko zatem wskazuje, że te rozmaite działania teatru będą ściśle związane z miastem i z regionem. To jakby pewne novum, wynikające — jak sądzę — z obowiązków „upowszechnieniowych", o których pan wspomniał. Dotychczas spotykało się w Lublinie głosy niechętne teatrowi, oczywiście odnoszące się nie do jego formuły i wartości artystycznej, ale raczej dotyczące sposobów funkcjonowania. Uważa się powszechnie, że pana zespół, to teatr „eksportowy", mało obecny w życiu miasta.

— Wydaje mi się, że robiliśmy wszystko, co możliwe, żeby teatr był w mieście obecny, ale nie zależało to tylko od nas. Przede wszystkim występowały kłopoty z salami; nie zawsze mieliśmy możliwość wynajęcia sceny na takich warunkach, abyśmy nie musieli dopłacać do przedstawień, co w sytuacji Stowarzyszenia, jakim byliśmy do niedawna, stanowiło poważny problem. Grywaliśmy na dziedzińcu zamkowym, gdzie spektakle miały chyba największe zainteresowanie, jednorazowo 300—400 osób; nigdy nie było tam mniej niż 100 widzów. A trzeba dodać, że nie posiadamy, jak dotąd, działu organizacji widowni. Jeśli zaś chodzi o naszą „eksportowość"... zapraszano nas, więc korzystaliśmy z tych możliwości. Myślę, że lublinianie powinni być zadowoleni z tego, iż teatr z ich miasta odwiedził tyle krajów.

Fot. Jan Tyszler

— Zmiana statusu teatru sprawi chyba, że zespół zacznie częściej, jeśli nie stale i regularnie, urządzać przedstawienia. Jak to się będzie wiązać ze wspomnianą już sprawą sali i z możliwościami teatru?

— Od kwietnia zamierzamy rozpocząć stałe przedstawienia, dwa razy w tygodniu, w LDK. Latem wznowimy, oczywiście, występy plenerowe. Jeśli chodzi o możliwości samego teatru, to myślę, że przy zwiększonej liczebności zespołu pokaz 60 przedstawień rocznie (taki mamy plan) będzie realny.

— Mówi pan o znacznym powiększeniu zespołu. Wiadomo, że do pańskiego teatru nie trafiają aktorzy „gotowi", absolwenci PWST. Jak wygląda obecnie ten proces kształcenia aktora? Czy obejmuje tylko kształcenie ciała — co jest oczywiście przy tego typu formule teatralnej rzeczą pierwszoplanową — czy również jakąś, ogólną przynajmniej, wiedzę z zakresu teatru, literatury, muzyki, malarstwa?

— W tej chwili nie prowadzimy odrębnych zajęć teoretycznych, pewne niezbędne wiadomości przekazywane są w czasie ćwiczeń praktycznych. Istnieje przy teatrze Instytut Badań Ruchu Scenicznego, gdzie obecnie odbywają się zajęcia, w zasadzie tylko praktyczne. Kiedyś w Instytucie prowadziliśmy wykłady z zakresu filmu, muzyki, ale po jakimś czasie sprawa upadła, głównie z powodów finansowych.

— Jak wygląda wykształcenie aktorów w pańskim zespole?

— O, to będę musiał z listy... no, tak po kolei... Ogólnokształcące, ogólnokształcące, liceum plastyczne, trzeci rok studiów, politechnika, technikum kolejowe...

— W zasadzie większość osób z wykształceniem średnim, i to niekoniecznie mającym jakikolwiek związek ze sztuką, więc kształcenie, choćby w zakresie bardzo ogólnej wiedzy o sztuce, nie wydaje się zbędne.

— Tak, myślimy oczywiście, by w Instytucie Badań wznowić zajęcia teoretyczne; największy nacisk należałoby położyć na malarstwo i pewne kształcenie muzyczne, historię muzyki i filmu. Jest to bardzo ważne, również dla uzyskania statusu aktora. Po dwóch latach instruktażu w zespole niektóre osoby mają możliwość zdawania przed komisją powoływaną przez Minister-

W świecie lalek

O TEATRZE dramatycznym mówi się i pisze wiele, o teatrze lalkowym milczy się natomiast: tak zwani poważni, szanujący się krytycy o nim nie pisują. W powszechnej świadomości funkcjonuje przeświadczenie, że teatr lalkowy to przecież teatr dla dzieci, a więc jakiś gorszy...

Teatry lalkowe wiodą żywot nader skromny, rzadko dają premiery, nie świetują co pięć lat jubileuszy, choć miewają przecież takowe. Wszystko dzieje się to bez tzw. pompy, czyli całej obudowy, jaka zwykły fundować sobie teatry dramatyczne, niekiedy do wręcz słabych przedstawień. Specjalne oprawy wydają się teatrom lalkowym niepotrzebne, bo wiadomo, któż tam bywa — dzieci, dorośli tylko z rodzicielskiego obowiązku. To, co zostało tu zapisane pod hasłem ogólnie ujętym — teatr lalkowy, w znacznym stopniu ma się jakoś do lubelskiego Teatru Lalki i Aktora. Zresztą uwagi te poczynione w dużej mierze zostały wyniesione z widowni tego teatru. Najważniejsza, jak mi się wydaje, opinia, którą mogę wypowiedzieć na podstawie parotletnich obserwacji tego teatru, to chyba ta, że lubelski teatr lalek jest teatrem nie tylko dla dzieci (to nie dlatego, oczywiście, że bywają tam również dorośli); wystarczy przypomnieć choćby takie przedstawienia: „Amor Divinus" — tryptyk staropolski, „Mały Książę", „Król Roger" Karola Szymanowskiego.

Ma Teatr Lalki i Aktora pewne swoiste oblicze, uformował je w dużej mierze paroletni okres dyrekcji Włodzimierza Feleńczaka i kształtuje je nadal, choć wedle nieco odmiennej formuły i innego rozumienia świata lalek, obecny dyrektor Tomasz Jaworski. Złośliwi powiedzieliby w tym miejscu, że teatr na Starym Mieście tak rzadko daje premiery, że ma czas na formowanie swego kształtu i oblicza. Istotnie, przedstawienia zdarzają się tu rzadko, bajkę „O straszliwym smoku i dzielnym szewczyku, przepięknej królewnie i królu Goździku" grano od marca 1984 aż do listopada, a więc do kolejnej premiery. Choć zważywszy, że przedstawienia odbywają się tylko w soboty i niedziele, to być może była potrzeba tak długiego eksploatowania spektaklu, ale wierzę, że solidna praca Działu Organizacji Widowni była przy tym niezbędna.

Zresztą, może fakt, że teatr lalek daje nie więcej niż dwie, trzy premiery w ciągu roku uzależniony jest od czego innego. Nie wiem, jak wygląda w Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie sprawa zespołu aktorskiego, podejrzewam jednak, że podobnie jak w wielu innych teatrach lalkowych nie może skłaniać do szczególnego optymizmu. Dlaczego tak jest, to, oczywiście, wiadomo. Praca aktora-lalkarza obok talentu i wielu umiejętności wymaga jeszcze rzeczy bardzo trudnej — pokory. W tym teatrze nie ma gwiazdorstwa, w zasadzie nie robi się tzw. „kariery" (w powszechnym tego słowa znaczeniu), aktor musi tu służyć lalce. Oczywiście franciszkańskie umiłowanie pokory i pracy, to cechy rzadko spotykane.

Wielu aktorów lalkarzy chętnie ucieka do teatrów dramatycznych. W Lublinie w kilku ostatnich latach chyba parę osób z Teatru im. H. Ch. Andersena zasiliło (wątpliwe raczej czy zasiliło, ale tak się mówi) zespół dyrektora Gogolewskiego. Zdaje mi się, że jest w zespole aktorskim Teatru Lalki i Aktora dużo młodzieży jeszcze zupełnie surowej, ale na pewno tzw. „obiecującej", znaczna część zespołu to chyba adepci. Nie wiem zresztą, może się mylę, ale nie mogłam tego sprawdzić, nie zawsze, niestety, można tu kupić program. Sprzedaje się wprawdzie przypinane znaczki, ale lepiej, gdyby maluch miał okazję kupić kolorową książeczkę programem zwaną, z której to mógłby się dowiedzieć czegoś o bajce, którą oglądał, o autorze, o reżyserze, aktorach; dorosłym by to też nie zaszkodziło. Zastanawiam się czasem, co robią tzw. sekretarze literaccy, albo wręcz działy literackie, które funkcjonują w teatrach lubelskich, bo przejawy ich istnienia bywają albo żenujące, albo zwyczajnie żadne. Jest to zjawisko właśnie szczególne dla lubelskich teatrów, nie wszędzie i nieczęsto gdzie indziej spotykane. Jakie to szczęście, że wszystko można usprawiedliwić poligrafią (!)

Dobrze przynajmniej, że Teatr Lalki i Aktora wymaga usprawiedliwienia tylko w tym zakresie, że nie trzeba usprawiedliwiać jeszcze przedstawień. W teatrach dramatycznych robi się to oczywiście często i z dużym powodzeniem, ale dzieci więcej wymagają i bywają mniej tolerancyjne. I reagują tak, jak naprawdę czują, głośno wyrażają swe zachwyty i zdziwienia, komentują przebieg zdarzeń, klaszczą i śmieją się, a to wszystko pewnie dlatego, że im się po prostu podoba. To pewnie już niemały sukces teatru...

Najnowsze przedstawienie w Teatrze Lalki i Aktora warte jest tych zachwytów i dziecięcego wzdychania. Spektakl „Przyjaciel wesołego diabła" według opowieści Kornela Makuszyńskiego (prem. 8 grudnia 1984 r.) posiada parę przynajmniej ważnych i znaczących scen. Przynosi mądrą treść, trafnie wybraną przez adaptatora z tekstu Makuszyńskiego, jest interesująco pomyślany w zakresie koncepcji inscenizacyjnej, posługuje się znakomitym zestawem lalek.

Jan Uryga przygotował tę adaptację dla Teatru Powszechnego w Radomiu, gdzie w ubiegłym sezonie wyreżyserował przedstawienie niezupełnie udane, ale ponieważ w Radomiu nie ma sceny lalkowej, więc dobrze, jeśli teatr dramatyczny raczy cokolwiek ofiarować dzieciom, stąd spektakl cieszył się dużym powodzeniem. Tekst adaptacji zyskał wiele, przełożony na kategorie teatru lalek, być może dzięki zestawowi kilkudziesięciu doskonałych lalek, zaprojektowanych przez Ali Bunscha. Nazwiska tego znanego scenografa rekomendować nie trzeba. Scenografia do „Przyjaciela wesołego diabła" jest znakomicie wysmakowana, nie tandet-

sławo Kultury i Sztuki egzaminu państwowego, dającego szansę uzyskania aktorskiego dyplomu. Egzamin ten obejmuje zarówno sprawdzian praktyczny, jak i teoretyczny z zakresu wiedzy o teatrze. O teatrze w ogóle, o dziejach operetki, wodewilu nawet, o dziejach pantomimy natomiast rzadko.

— Jak wygląda w tej chwili status aktora? Czy to, że teatr funkcjonuje wedle nowych zasad oznacza coś dla aktorów w sensie praktycznym?

— Status domu kultury sprawia, że etaty i płace mamy według podobnych reguł. Udało się nam dotychczas wprowadzić normy aktorskie, jakie obowiązują w teatrach dramatycznych. O przyznanie innych „praw" teatralnych będziemy się starać w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

— Teatr świętuje piętnastolecie. Na tego typu scenę jest to jubileusz „duży". Pytanie zabrzmi może nie bardzo mądrze i nie wiem, czy możliwa jest na nie odpowiedź, ale chcę je zadać. Jak pan, jako twórca i kierownik zespołu, patrzy na ten okres miniony?

— Tak, to bardzo dużo, jak na taki teatr. Aż dziwię się, że ta formuła wytrzymała 15 lat, ja sam nie myślałem, że ten teatr będzie długo istniał. Zespół, oczywiście, wielokrotnie się zmieniał: czasem co dwa lata, niekiedy nawet co sześć miesięcy. Myślę o zmianach etatowych (etaty zostały wprowadzone w 1974 r.). Z pierwszego składu zespołu pozostały obecnie cztery osoby. Od samego początku związani są z teatrem: Marek Zarycki — akustyk i Bogdan Zadura — kierownik literacki, oraz mimowie — Irena Małecka i Jerzy Kamiński.

— Czy możliwe są tak częste zmiany w zespole aktorskim? Wykształcenie aktora-mima wymaga w końcu jakiegoś czasu, o czym już mówiliśmy.

— Tak, ale nie zawsze umiejętności wiążą się z czasem kształcenia. Decydują tu i specyficzne uzdolnienia, i dobór odpowiednich ćwiczeń. Instruktor musi stosować rozmaitość ćwiczeń, według metod indywidualnych, dobranych do osoby, dostosowanych do jej psychiki. Konieczny jest zawsze wywiad o ludziach. Ważna jest także osoba uczącego; ostatnio instruktaż prowadzi u nas Jerzy Kamiński, który uczy bardzo szybko.

— A więc w teatrze pantomimy także niezbędna jest postać mistrza?

— Nie wiem, czy mistrza... zależy to od wielu spraw...

— Teraz — jak już mówiliśmy — jubileusz i kolejna premiera: „Rzecz o Fauście". Zapowiadane przez pana stałe prezentacje spektakli pozwalają mieć nadzieję, że będzie można to widowisko częściej oglądać i w Lublinie. Muszę przyznać, że dotychczas raczej zdarzało mi się oglądać Teatr Wizji i Ruchu w czasie rozmaitych przeglądów i prezentacji w innych miastach, niż u nas. Ale myślę, że to tylko indywidualny przypadek dziwności który niekoniecznie musi mieć związek z tym teatrem... Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiała: **Lidia Wójcik**

---

na, nie uproszczona i nie przerysowana, co często w teatrach lalkowych się zdarza, w przeświadczeniu, że dzieciom można pokazać wszystko. Posługuje się delikatnymi, pastelowymi barwami i w dużej mierze umownością. Wiele umowności jest również w kształtach lalek i przypisanych im znaczeniach. Ważne wydaje się to wykorzystanie języka symbolu i umowności, tworzenie teatru opartego nie tylko na iluzji. Ma to niewątpliwie znaczący wpływ na kształtowanie wyobraźni dziecka, dorosłych także. Dla tych samych powodów ważne wydaje się wkomponowanie w konstrukcję przedstawienia osoby narratora, aktora żywego planu. To on rozpoczyna przedstawienie i opowieść o przygodach bohaterów. Potem pojawia się wielokrotnie, zwłaszcza, gdy narasta napięcie dramatyczne przedstawienia, informuje, że przygody będą toczyć się dalej i jakby sygnalizuje dobry koniec. To ważne, że dzieci mogą nie tylko oglądać zdarzenia, ale i słuchać o zdarzeniach. Jest to próba tworzenia teatru widowiskowego i teatru wyobraźni zarazem. Aktorzy nie mają w tym przedstawieniu większych potknięć, widowisko zostało solidnie przygotowane zarówno od strony głosowej, jak i w zakresie animowania lalki.

Najważniejsze jednak, że dzieciom się podoba, ba, mnie zresztą także. Jeszcze długo po wyjściu z teatru, na ulicy, maluchy głośno komentują zdarzenia i wyrażają swoje zadowolenie, mnie, niestety, nie bardzo wypada...

L. W.

Koronkowa robota

Rozmowa z Marianem Marzyckim – mistrzem nad mistrze

— Jest pan, panie Marianie, najstarszym pracownikiem Teatru im. Osterwy i chyba także najstarszym, pracującym czynnie w swoim zawodzie, perukarzem — w Polsce. Poznaliśmy się trzydzieści lat temu, a już wtedy był pan uważany za osobę związaną od „niepamiętnych" czasów z lubelskim teatrem, wręcz za instytucję. Czy zastanawiał się pan kiedyś ile też peruk, bród i wąsów wykonał pan w swojej teatralnej pracowni?

— Prawdę mówiąc, nigdy mi takie myśli nie chodziły po głowie. Ale musiało być tych peruk dużo i wielu także przeszło przez moje ręce aktorów. Komu to ja już nie kleiłem wąsów, jakim teatralnym sławom przyprawiałem włosów, bo własnych, do roli amantów, nie starczało...! Ale, to już tajemnica zawodowa. W każdym razie w ciągu sześćdziesięciu czterech lat pracy na wiele rzeczy się w teatrze napatrzyłem!

— Czy zawód perukarza jest trudny?

— Bardzo trudny. Uczyć się go trzeba długo, a sama praca jest żmudna, wymagająca wielkiej precyzji i niesłychanej cierpliwości. Dawniej perukarzami bywali głównie mężczyźni, obecnie w tym fachu mamy prawie same kobiety. Mężczyźni wybierają inne, bardziej intratne i mniej męczące zawody. Teraz w naszym teatrze pracuje tylko jedna, oprócz mnie, emeryta-„poletatowca", kwalifikowana perukarka, moja dawna uczennica, Jadwiga Pietrzak. Przyszła do teatru jako młodziutka dziewczyna, dwadzieścia cztery lata temu, i ona też będzie musiała sobie kiedyś wychować następcę... Poza tym mamy jeszcze do pomocy dwie młode fryzjerki. Ale fryzjerstwo i perukarstwo, to, wbrew powszechnemu przekonaniu, zupełnie różne zawody. Fryzjer włosy strzyże, układa, modeluje fryzurę. Perukarz musi najpierw sam z r o b i ć z a r o s t, a dopiero później bierze się za czynności fryzjerskie.

— A jak się taki z a r o s t, taka sztuczna „szewelure", taka „rozwichrzona grzywa" robi?

— Na przykład „pełną perukę" robi się w ten sposób: na drewnianą formę przypominającą głowę, naciągam tiulową siatkę. I następnie specjalnym szydełkiem perukarskim przeciągam po 2—3 włosy przez każde „oczko" siatki, i zawiązuję je. W ten sposób trzeba przeciągnąć i zawiązać na jednej siatce wiele tysięcy włosów. I to jest właśnie ta najtrudniejsza część pracy perukarza, ta żmudna, k o r o n k o w a robota, za której wykonywanie mało kto już się chce brać w dzisiejszych czasach. Potem te włosy trzeba odpowiednio przystrzyc, ułożyć, lub przemyślnie ufryzować, jeśli będzie to na przykład peruka „molierowska"...

— A włosy na peruki skąd się bierze?

— Za dawnych czasów peruki robiło się głównie z prawdziwych ludzkich włosów. Kupowało się je w zakładach fryzjerskich. A znowu fryzjerzy kupowali je od panienek, które nie chciały już nosić warkoczy. A bywały i takie dziewczęta, które sprzedawały swoje piękne warkocze, bo po prostu... nie wystarczało im pieniędzy na życie. A teraz jest specjalny sklep w Warszawie, w którym teatry zaopatrują się w szminki, w teatralne trykoty, „baletki" i także — sztuczne włosy, „na wagę" sprowadzane z zagranicy. I właśnie z tych sztucznych włosów robimy prawie wszystkie peruki.

Dzisiaj, nawiasem mówiąc, peruk robi się w teatrze mniej niż kiedyś. Teraz gra się dużo sztuk współczesnych, a w dodatku wśród aktorów jest moda, aby mieć „własną twarz"... A za dawnych czasów, proszę pana, ambicją aktora było to, żeby przeistoczyć się w zupełnie nową postać na scenie. Tak, żeby go nawet najbliżsi znajomi nie potrafili poznać! Przemieniali się w różnych pokracznych staruchów, garbusów, wstrętnych grubasów, w niesamowitych czarowników lub straszliwe jędze z piekła rodem. I taka kunsztowna charakteryzacja była przez publiczność oceniana nie mniej wysoko niż sama gra aktorska. Kleiło się wtedy nie tylko brody i wąsy, ale także różnego rodzaju nosy, ogromne brodawki, nawet modelowało się aktorom uszy. Służył do tego specjalny niemiecki kit. Perukarz był zarazem c h a r a k t e r y z a t o r e m i on właśnie produkował, poza perukami, te wszystkie sztuczne nosy, uszy i narośla, i „przyozdabiał" nimi głowę i twarz aktora... A jeżeli jeszcze doda pan do tego fakt, że dawniej premiery szły co tydzień, a nie — jak teraz co kilka miesięcy, to dopiero wtedy uświadomi sobie pan, ile roboty miał perukarz-charakteryzator.

— Mówił pan, panie Marianie, że perukarz sam sobie musi wychować następcę. A pana kto „sobie" wychował?

— Do teatru przyszedłem w 1921 r., za czasów dyrektora Grodnickiego. A to przyjście do perukarskiego terminu zawdzięczałem pewnemu Żydowi ze Starego Miasta, niejakiemu Trachtenbergowi, który prowadził wypożyczalnię fraków, sukien balowych, ślubnych oraz... strojów teatralnych i właśnie z jego kostiumów ówczesny Teatr Miejski często korzystał. Miałem wtedy piętnaście lat, trochę u niego pracowałem, ale rozglądałem się za zdobyciem jakiegoś realnego fachu. I ten Trachtenberg raz powiada: „Ty chcesz mieć w ręku fach? Ja ci załatwię dobry fach. Co ja mówię: dobry fach! Ja ci załatwię b a r d z o dobry, b a r d z o pożyteczny, bardzo n i e z w y k ł y fach! Ty będziesz robił z młodych — starych, ze starców — młodych królewiczów, a ze starych, obrzydliwych bab — piękne hurysy!" I zaprowadził mnie tutaj, do tego teatru, do swojego znajomego, Jana Dobrackiego, który był perukarzem i potrzebował pomocnika. Dobracki był perukarzem z dziada pradziada; jest także perukarzem jego syn, który pracuje jeszcze teraz w jednym z wrocławskich teatrów... Po trzyletniej, b e z p ł a t n e j praktyce u Dobrackiego zostałem zaangażowany przez dyrektora Grodzickiego, bo się miejsce zwolniło; mój „mistrz" wyjechał do Warszawy, gdzie dostał dobrą pracę w jednym z tamtejszych teatrów.

— Jaki właściwie był ten dyrektor Grodnicki? Bo to różne legenty o nim krążą?

— To był, panie, dobry dyrektor. Dyrektor — całą gębą. Twardy człowiek, wszyscy się go bali, potrafił zapewnić sobie posłuch w teatrze, ale też dał się lubić, bo miał fantazję. Uważano go też za dobrego aktora. Kochał teatr, starał się, jak na owe czasy, dbać o zespół...

— Ale, jak mówiono, uciekł pewnego razu w nieznane z całą kasą teatralną?

— Z k a s ą uciekł?! Po co on miał uciekać? Z c z y m? Jak kasa stale była p u s t a!!! Przecież nie było dotacji.

.nm

Nazywało się: Teatr Miejski, ale po prawdzie to miasto dawało tylko salę, światło i płaciło za druk afiszów. A co do reszty: myślcie o sobie sami! Najczęściej żyło się zaliczkami. Ja niby miałem gażę, najpierw 90, potem 100, na końcu — 150 złotych, ale nie zawsze te pieniądze widziałem w kupie. A były też takie okresy, że tutaj, gdzie teraz siedzimy i rozmawiamy (za dawnych czasów mieścił się tu sekretariat, a nie perukarnia), staliśmy pod drzwiami i sekretarka wypłacała nam zaliczkowo po dwa złote „na zupę". Ale teatr się kochało i nikt o przejściu do innej pracy nie myślał.

A jeszcze: mówiłem tutaj o angażu; angaż toż to było zatrudnienie na okres sezonu. A sezon liczył się od września do maja. Potem była w teatrze przerwa i nie nikogo nie obchodziło, z czego kto ma żyć. Więc szło się na trzy miesiące na zasiłek dla bezrobotnych: dwadzieścia złotych miesięcznie! Ale były też takie wakacje, że teatr wyjeżdżał na gościnne występy do miejscowości kuracyjnych, letniskowych i wtedy było bardzo wesoło.

— Podczas okupacji rezydował w tutejszym budynku teatr niemiecki. Bardzo mało jednak wiadomo o tego działalności...

— Bo to była właściwie taka teatralna trupa objazdowa. Grywali przeważnie „w terenie", w garnizonach, dla wojska. Usiłowali utrzymać w teatrze polski personel techniczny, bo swoich fachowców nie mieli, ale my staraliśmy się, jak tylko mogliśmy, wykręcać się od tej pracy. Ja większość okupacji przepracowałem w instytucji ubezpieczeniowej, w ekspedycji. Inni koledzy też się chwytali różnych fachów.

— Trafił pan później do Teatru 1 Armii z dyrektorem Krasowieckim na czele?

— Niby tak, niby nie. Bo przecież oni weszli tutaj razem z wojskiem, zagrali tylko kilka przedstawień i pociągnęli dalej za frontem. Dopiero po kilku miesiącach wrócili, już jako Teatr Wojska Polskiego, i zaczęli próby „Wesela". A my tymczasem tutaj, pod dyrekcją Józefa Klejera i Ireny Ładosiówny, występowaliśmy od 12 sierpnia 1944 r., najpierw: „Moralność pani Dulskiej", potem „Jeńców", „Muzykę na ulicy", „Grube ryby", „Uciekła mi przepióreczka"... Tak było naprawdę...

— Sześćdziesiąt cztery lata w teatrze, na tym samym miejscu, w tym samym zawodzie! Panie Marianie: niech pan zdradzi chociaż jedną tajemnicę zawodową...!

— Dobrze, ale pod warunkiem, że nie wyda jej pan żadnemu artyście: perukarz zawsze może stwierdzić, czy aktor przyszedł do teatru „po wódce", czy trzeźwo...

— W jaki sposób?

— A w taki, że po wódce wąsy i broda nie chcą się dobrze kleić... Naprawdę! Klej nie trzyma...

— Jeszcze jedno pytanie: zmieniło się już podczas pana teatralnego stażu wielu dyrektorów. Od czego zazwyczaj nowy dyrektor rozpoczyna działalność?

— To pan nie wie? Każdy od p r z e r a b i a n i a teatru. Jak ja przyszedłem do naszego teatru, to tu, gdzie jest portiernia, była brama przechodnia na podwórze, a w tej bramie była jeszcze studnia z pompą. Tam, gdzie są dzisiaj dyrektorskie pomieszczenia, były palarnie i bufety. Najpierw — miałem pracownię po lewej stronie schodów; to teraz tam jest garderoba damska. Tu, gdzie siedzimy, był sekretariat. Teraz — jest perukarnia. Garderoby męskie, które były pod sceną, są teraz na pierwszym piętrze. Schody na scenę też były kiedyś w innym miejscu. Na widowni były piękne loże, któryś je zlikwidował. Co raz: nowy dyrektor przyjdzie — to coś przerabia...

Teraz — znowu jakiś nowy przychodzi... Zna go może pan?

Rozmawiał: **Mirosław Derecki**

GUZIK

Wojciech Próchniewicz

Od kiedy społeczeństwo trochę podrosło, to przestało mu już wystarczać siedzenie w norach. Pojawiły się namiastki organizacji szperających i podziwiających. Nory pustynne były na tyle dobre, że jednostki nerwowe czuły się tam dosyć bezpiecznie, ale nie na tyle dobrze, żeby mogły mówić o strawie duchowej, tudzież najzwyklejszej rozrywce w stylu: „ale jaja!". Organizacje szperające i podziwiające tak długo szperały i sposobiły się do podziwiania, że w końcu natrafiły na olbrzymiej wielkości młot parowy. Młot był niebosiężny i przerażający swą wielkością. Został pewnie zbudowany w czasach istot wielkich, które to wyginęły z powodu jakiegoś niewyjaśnionego kataklizmu. Wskutek wiatru sypały się z niego tumany rdzawego pyłu i rozprzestrzeniały w promieniu wielu kilometrów po pustynnej okolicy. Wtedy to właśnie organizacja szperających zdziwiła się po raz pierwszy:

— Ale wielki! — wrzasnęła któraś z jednostek.

— Ale potężny! — zachwyciła się inna.

Wszystkie razem pobiegły do reszty społeczeństwa i przekrzykując się nawzajem, opowiedziały im z podziwem co odkryły.

Po kilku godzinach w norach nie było już żywej duszy. Wszystkie jednostki, jak jeden mąż, popakowały swoje dobytki i, wiedzione jakimś niezrozumiałym instynktem, popędziły w zardzewiałą okolicę, gromadząc się tłumnie u podstaw wielkiej metalowej konstrukcji. Natychmiast zawiązał się Komitet do Spraw Znalezienia Sposobu. Było to oczywiste, bo każdemu bez wyjątku chodziło teraz tylko o to, jak wleźć na górę. Zaczęto pierwsze próby. Jednostki odpadały od zardzewiałych ścian całymi chmarami. Wiele z nich straciło życie, ale w końcu jednej udało się dokonać tego niesamowitego wyczynu i wkrótce gruba lina zawisła między niebem a ziemią. Zaczęła się długa, bo wielotygodniowa wspinaczka. Gdyby można było popatrzeć na młot z lotu ptaka, z pewnością pierwszą rzeczą, jaką by zauważono, byłaby cieniutka niteczka łącząca żelazo i ziemię, po której wpełzały powoli jak mrówki zawzięte jednostki.

Minęło wiele miesięcy żmudnych prac w celu zasiedlenia zardzewiałego młota. Ileż przeszkód, ileż niespodziewanych utrudnień musiano pokonać, by osiedle zakwitło, wypiękniało, zamieniło się w pełne uroku miasteczko, niczym nie przypominające dawnych nor pustynych. W rozległych wżerach zgromadzono wodę, którą zbierały oddziały specjalnie do tych celów powołane w czasie pór deszczowych. Społeczeństwo dumne z miejsca zasiedlenia, dającego mu poczucie bezpieczeństwa z uwagi na solidną staliwną i stalową konstrukcję, miało też odpowiednie warunki ku temu, by się należycie rozwijać. Powstawały szkoły, szpitale, a nade wszystko placówki naukowe. Co pewien czas z instytutu wyruszały ekspedycje wyposażone w ssawki gumowe. Wspinały się wyżej i wyżej w celu dokładnego poznania niebosiężnej budowli.

Do czasu, gdy miasto posiadało kilka, nawet kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, nikt nie protestował, nikt nie nawoływał, tudzież podjudzał. Wszystko zaczęło się dopiero od tego, gdy liczba ta podwoiła się i podzieliła na dwa przeciwstawne obozy. Oczywiście próbowano pertraktować, podpisywać oświadczenia i umowy, iść sobie wzajemnie na rękę, ale to już nic nie dało, bo każda ze stron miała odrębną ideologię i zawzięcie zaczynała jej bronić.

Młot podzielono. Ustanowiono granice i pozornie wszystko ucichło. Oba państwa oficjalnie przekazywały sobie wyrazy wzajemnego szacunku i rozwijały między sobą handel. Prowadzono z powodzeniem wymianę kulturalną. Mijały lata. Państwa stawały się coraz silniejsze i wykazywały ogromną chęć poszerzenia swych terytoriów.

Wtedy to właśnie kolejno, najpierw naukowcy jednego, potem drugiego, odkryli nowy teren. Maleńką kotlinę spowodowaną długotrwałą korozją. Stało się to, czego nikt nie mógł, a może nie chciał przewidzieć. Było już, niestety, za późno. Wszyscy z ogromnym zdziwieniem spostrzegli, że na tym, na oko dziewiczym obszarze, powstało maleńkie państewko. Rządy obu wielkich partnerów nie zareagowały z początku na tę wiadomość zbyt zdecydowanie. W końcu jednak wydano polecenia, by mieszkańców kraiku, na mocy uzgodnionej wspólnie umowy, wpisać na listę obywateli obu państw; aby było sprawiedliwie, to podział miał być równy.

Obywatele enklawy na taką decyzję się nie zgodzili, więc oba duże państwa dokonały zbrojnej interwencji, która się nie udała. Nie było więc innego sposobu, jak tylko państewko, leżące w głębokiej kotlince, zatopić. Po przekazaniu takiej noty opornemu rządowi, kierownictwa obu państw odczekały odpowiedni okres. W tym czasie nadeszła nota od rządu nowego sąsiada. Oświadczył on, że w wypadku zauważenia pierwszych kropli na terenie swojego kraju będzie musiał podjąć niezwłocznie działania samoobronne, a jest to realne z tego prostego względu, że państwo — co prawda małe — ma dostęp do GUZIKA. Rząd państewka jest na tyle taktowny, że nie opisze, co by się działo po ułamku sekundy, gdyby GUZIK ów został wciśnięty. Było to szczerą prawdą. Podczas gdy naukowcy dwóch mocarstw krążyli po korpusie młota i szperali w niewłaściwych miejscach, specjaliści małego kraju wydrążyli tunel w żelastwie i, dokonując niewielkich przeróbek, przenieśli przycisk — uruchamiający młot — w bezpieczne i opancerzone miejsce po swojej stronie, niedaleko rezydencji własnego rządu.

Tak to bardzo zbulwersowało mieszkańców obu wielkich społeczeństw, że natychmiast po rozruchach i demonstracjach w sposób jak najbardziej demokratyczny pozamieniano składy obu rządów, od których następnie kategorycznie zażądano szybkiego wyjaśnienia całej sprawy: na rzecz państw już, niestety, nie dominujących.

Do nowego państewka przybyłem jako wysłannik „Gazety Codziennej". Miałem wyraźne polecenie dokładnego zbadania całej historii z guzikiem, o ile było to oczywiście możliwe, oraz opisanie tamtejszego ustroju. Krążyły bowiem wieści, że wprowadzono tam demokrację znacznie doskonalszą, niż te, które panują w dwóch wielkich połaciach młota. Po przyjeździe do stolicy zdziwił mnie niezwykły porządek i spokój na ulicach. Niewiele namyślając się wstąpiłem do pierwszej lepszej knajpki i zamówiłem piwo. Od tej pory wszystko wydało mi się podejrzane i wymagało precyzyjnego zbadania. Skierowałem się do stolika, który wydał mi się pusty. Dopiero po bliższych oględzinach, w absolutnym skupieniu, dostrzegłem tam siedzącego człowieka, pijącego tak, jak ja, swoje piwo. Nie mówił nic, ale po dłuższej chwili byłem pewny, że chce mi coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego. Piwo kończyło mu się, więc nadażyła się okazja:

— Może pan pozwoli jeszcze jedno? — zagadnąłem i skinąłem na szefa knajpki w białym fartuchu.

— Właściwie to ja nie piję, ale... — nie dokończył, chciwie wpatrując się w jasną puszystą piankę.

— Spokój tu taki — powiedziałem niby od niechcenia, a jednocześnie wbiłem badawczy wzrok w sąsiada, bo w chwilach nieuwagi bądź to zapomnienia ginął mi ustawicznie z oczu.

— Ano.

— Nie boicie się?

— Et! — machnął ręką. — A niby czego?

— No, wojny!

— Wojny?! — popatrzył na mnie osłupiały, a potem ironicznie się uśmiechnął.

— Nie wiecie, co to wojna? — zapytałem z nadzieją, że się teraz opamięta.

— A wiem, wiem, tylko szkoda czasu na gadanie. Ot, lepiej piwo wypić, posiedzieć...

— Człowieku! — zdenerowowałem się. — Toż to może zdarzyć się nawet w tej chwili!

— No to co? — rzekł ospale. — My mamy GUZIK!

Za oknami pojawili się nagle ludzie, wiele osób z transparentami. Podniosłem się znad stolika i podszedłem do okna. W moim kierunku zbliżała się grupa niosąca wielkie malowidło przedstawiające nagą kobietę i nagiego mężczyznę w miłosnym uścisku. Jedna dłoń mężczyzny obejmowała ciało kochanki, a druga wyciągnięta była w stronę przycisku znajdującego się pod blatem nocnego stolika. Napis nad nimi głosił: „Kochaj się spokojnie! Ty też możesz zadecydować!" Tłumy ciągnęły ulicą jeszcze przez pewien czas. Wróciłem do stolika.

— Widzisz pan — nieznajomy jakby się nieco ożywił — tak się te sprawy mają.

— Dalej nic nie rozumiem — szepnąłem, czując w głowie wielki mętlik.

— Oj — sąsiad od stolika zgorszył się. — Z choinki się pan urwał! Jak demokracja, to demokracja! Pan też może.

— Co mogę?

— Jak to co? Decydować, rzecz jasna! Sięgnij pan pod stolik, tylko uważnie!

Drżącymi z przejęcia dłońmi przesunąłem pod blatem stołu. Olbrzymia fala gorąca uderzyła mi do głowy. Opuszkami palców wyczułem przycisk.

— Jeśli... — słowa utykały mi w gardle — to znaczy, że jeśli ja teraz...

— No, oczywiście! — pisnął nagle rozpromieniony mój rozmówca.

— Ależ to bzdura! Wielkie niebezpieczeństwo! Ktoś niezrównoważony, albo pomyłkowo... Jak tak można?!

— Mój panie, na tym polega prawdziwa demokracja. Na pełnym zaufaniu i na pełnej swobodzie decyzji każdego obywatela!

Zrobiło mi się słabo. Mój rozmówca zobaczył to i ujął mnie pod ramię. Zaproponował, by wyjść na świeże powietrze. Po chwili spacerowaliśmy po ulicy. Przechodząc obok budki telefonicznej mimochodem spojrzałem na rozmawiającego młodzieńca. Z zachowania mogłem wnioskować, że rozmowę miał przyjemną. Odruchowo stukał palcami w nieduży pulpit, znajdujący się tuż pod automatem. Wtedy po raz pierwszy krzyknąłem ze strachu. Wyrwałem się swojemu towarzyszowi przechadzki i wpadłem do wnętrza oszklonej kabiny. Szarpiąc dłoń rozmawiającego obywatela, usiłowałem mu wytłumaczyć, że o mały włos nie trafiłby palcem w czerwony przycisk usytuowany tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą postukiwał koniuszkami palców.

— Co pan?! — młodzieniec był najwyraźniej poirytowany.

Popatrzył na mnie, jak na przybysza z innej planety, a potem odwrócił się tyłem mówiąc do słuchawki:

— Jaśka! Przepraszam, ale jakiś niezupełnie normalny facet wdarł się do budki i przeszkadza nam w rozmowie. Cały czas usiłuje dać mi do zrozumienia, żebym przypadkiem nie nacisnął. Taki to strachliwy! He, He! He!

Zaraz potem zostałem wyciągnięty z budki przez mojego znajomego z knajpki.

— Pan się naprawdę źle czuje — stwierdził z troską w głosie.

— Uhm — mruknąłem i ruszyłem w kierunku dostrzeżonego nagle neonu: „Szpital". Znajomy pospieszył za mną. Miałem dużą nadzieję, że tam dostanę coś na uspokojenie. W parę chwil potem szliśmy już sterylnym korytarzem, pełnym niklowanych wykończeń.

— „Skąd oni wzięli nikiel?" — przemknęło mi przez myśl. Mijałem kolejne sale. Przez przezroczyste szyby widziałem chorych, leżących lub siedzących na łóżkach. Nie wiem, co to było, faktem jednak się stało, że nagle przystanąłem przed salą z numerkiem bardzo nieczytelnym, a po chwili wszedłem do środka. Leżeli tu chorzy całkowicie lub prawie całkiem sparaliżowani. Pochyliłem się nad starą kobietą i przyjrzałem uważnie maleńkiemu czujnikowi zamocowanemu na jednej z powiek. Czujnik był połączony cieniutkim przewodem z zestawem wzmacniaczy, a te z przekaźnikiem, który... Z przerażenia cofnąłem się i wpadłem na mojego nieodłącznego towarzysza.

— Ona też może? — zapytałem, a właściwie wymamrotałem, pokazując na staruszkę, która przez zestaw skomplikowanych przyrządów była w stanie również uruchomić GUZIK i to poprzez jedno tylko mrugnięcie powieką.

— Ależ nie tylko ona! — znajomy powiedział to dumnie, po czym ujął moją rękę i wyszliśmy na korytarz. — Wszyscy obywatele naszego państwa mają umożliwione włączenie w dowolnej chwili GUZIKA. Jeśli więc tamta pacjentka nie może ruszyć ani ręką ani nogą, posłuży się znakomicie powieką. Inni pacjenci w zależności od rodzaju choroby mogą uruchomić GUZIK podmuchem powietrza z ust, ciepłotą ciała, nadmierną potliwością lub za pomocą oddania moczu. Wszystko to zarejestrują odpowiednie urządzenia i za pomocą przekaźników włączą, co trzeba! Ale widzę, że pan zbladł jeszcze bardziej! Co pan... gdzie pan biegnie?!

Pędziłem przed siebie bez celu z godzinę. Znajomy okazał się zadziwiającym człowiekiem, bo przez cały czas pędził za mną. Dogonił mnie, gdy sapiąc przystanąłem przy jakiejś ciemnej bramie.

— Wyjeżdżam — rzuciłem krótko. — Niebezpieczeństwo!

— Ale przyzna pan, że demokracja...

— Daj mi, człowieku, spokój z demokracją! — wrzasnąłem. — Byle kto z tych chorych kichnie i po nas!

— No, nie tak od razu — mruknął mój rozmówca.

— Jak to?

— Plan utworzenia demokratycznego państwa ma jeszcze jedną zaletę!

— Oj! — znowu się bardzo przestraszyłem.

— Spokojnie, spokojnie. Coś pan taki strachliwy? Otóż te wszystkie przyciski są tylko dla zamydlenia oczu. Tylko jeden z nich naprawdę działa. Rządowi chodziło o spokojne sumienie naszych obywateli. Wie pan, jak pluton egzekucyjny idzie wykonać rozkaz? Część żołnierzy dostaje naboje ślepe, a część ostre. Lecz żaden z nich nie wie, jakie otrzymał właśnie on. Ma za to potem to przyjemne uczucie, że może nie jest winny śmierci skazańca. Ot, i wszystko. Co? Nie wierzy mi pan?! — zapytał poruszony i podszedł do ściany w bramie, gdzie widniał czerwony GUZIK. — Ot, niech pan patrzy! — rzekł i nacisnął.

Wzdrygnąłem się. Pomyślałem, że muszę natychmiast stąd uciekać. Tymczasem mój znajomy wyraźnie się rozochocił. Zaczęliśmy chodzić po ulicy i wyszukiwać kolejne GUZIKI. Naciskał je z wyraźną przyjemnością.

— Nigdy nie miałem szczęścia — mówił do mnie rozpromieniony — W grach liczbowych traciłem zawsze na próżno wiele pieniędzy!

Ja tymczasem obmyślałem mój plan. Chciałem jak najszybciej wydostać się z tego państewka. Teraz piszę te słowa bardzo nerwowo i nie wiem, czy je potem odczytam, bo mój znajomy znowu odnalazł jakiś GUZIK i właśnie w tym momencie go nacis...

Tygrys miał wówczas lat 29

Wiesław Śladkowski

GDY po klęsce pod Sedanem upadło we Francji II cesarstwo, przed republikańskim rządem tymczasowym stanęła pilna kwestia organizacji nowej władzy. Nowo kreowane stanowisko mera Paryża objął stary republikanin Etienne Arago. W obliczu zagrożenia miasta przez maszerujące na Paryż wojska pruskie trzeba było szybko przygotować jego obronę. Zadanie to mógł Arago wykonać jedynie przy pomocy merów poszczególnych dzielnic Paryża. Na stanowiska te powoływał więc ludzi odważnych i zdecydowanych w swych republikańskich poglądach. Jednym z takich był wówczas 29-letni Georges Clemenceau. Arago znał młodego lekarza z jego działalności opozycyjnej wobec obalonego reżimu, mianował więc Clemenceau merem XVIII dzielnicy Paryża, obejmującej robotniczy wtedy Montmartre.

Tymczasem 18 września 1870 r. wojska pruskie stanęły pod Paryżem, a nazajutrz całkowicie go otoczyły. Stolica Francji postanowiła się bronić. Clemenceau był zwolennikiem walki do końca. Płonął w nim ogień Dantona i Robespierre'a, których tak uwielbiał. W podpisanej przez siebie proklamacji z 23 września wzywał mieszkańców swej dzielnicy do nieustępliwej walki. „Obywatele! Nieprzyjaciel jest u bram miasta. Wkrótce może nadejść dzień, gdy własnymi piersiami będziemy bronić do ostatka ojczyzny. Każdy zna swój obowiązek. Jesteśmy dziećmi rewolucji. Ożywieni przykładem naszych ojców z 1792 r. jak oni zwyciężymy. Niech żyje Francja! Niech żyje Republika":

Płomienne słowa przekuwał Clemenceau w czyn. Pracując bez wytchnienia formował z mieszkańców Montmartre oddziały Gwardii Narodowej, dbał o zaopatrzenie ludności w żywność i opał. Na jego wniosek 169 batalion Gwardii wystawiony przez XVIII dzielnicę powołał na swego dowódcę słynnego rewolucjonistę Augusta Blanqui. W liście do żony wysłanym balonem z oblężonego Paryża Clemenceau pisał: „...wszyscy wierzymy, iż nasze wysiłki ukoronuje sukces. [...] Każda rzecz, która powinna być wykonana, została zrealizowana. Wyprodukowaliśmy armaty, karabiny, naboje, proch. Mamy armię, wraz z oddziałami Gwardii Narodowej utworzyła ona nową siłę. Ufortyfikowaliśmy Paryż tak skutecznie, iż Prusacy nie mogą atakować jego murów".

Poświęcając najwięcej wysiłków i uwagi obronie, Clemenceau zajmował się również innymi sprawami swej dzielnicy. Ateista i gorący zwolennik laicyzmu, wydał decyzję zabraniającą nauczania w szkole religii. Zetknął się wówczas z Luizą Michel, nauczycielką przeniknięta jak i on antyklerykalnym zapałem, wywiązała się między nimi trwała przyjaźń.

Clemenceau, przychylnie ustosunkowanego od dzieciństwa do Polski i Polaków, boleśnie zraniła informacja, iż niektóre pozycje niemieckie wokół Paryża obsadzone są przez żołnierzy mówiących po polsku. Jak to Polacy popierani przez Francuzów w swych walkach o wolność oblegają teraz Paryż razem ze swymi zaborcami? „I ty Brutusie!" zawołał patetycznie. Zdawał sobie z pewnością sprawę, iż Polacy zostali zmuszeni do służby wojskowej, z drugiej jednak strony liczył zapewne, jak większość jego rodaków, na masową dezercję żołnierzy polskich z Poznańskiego z szeregów niemieckich, do czego jednak nie doszło. Chłopscy rekruci, ujęci żelaznymi trybami pruskiej dyscypliny, nie byli jeszcze zdolni do podjęcia takiej decyzji.

Mimo niezłomnej postawy obrońców Paryża sytuacja Francji pozostawionej samej sobie przez Europę przedstawiała się katastrofalnie. Rząd Tymczasowy wynegocjował u triumfującego Wilhelma I, który 18 stycznia 1871 r. ogłosił się w Wersalu cesarzem zjednoczonych Niemiec, 3-tygodniowe zawieszenie broni. Miało ono umożliwić przeprowadzenie w całym kraju wyborów do Zgromadzenia Narodowego. W wyborach tych ujawniły się powszechnie reprezentowane przez burżuazję i chłopstwo tedencje pokojowe. Tylko mieszkańcy stolicy Francji poparli „nieprzejednanych", gotowych walczyć do końca. Był wśród nich Clemenceau, otrzymując przeszło 95 tys. głosów mer Montmartre został wybrany jednym z deputowanych Paryża. Podczas obrad Zgromadzenia w Bordeaux był jednym ze 107 deputowanych głosujących przeciwko ratyfikacji ciężkiego, narzuconego pokonanej Francji pokoju, w wyniku którego utraciła ona na rzecz Niemiec Alzację i część Lotaryngii.

Clemenceau, przybity klęską, powrócił 4 marca do Paryża i objął swój posterunek. Szybko zorientował się, iż najbardziej zapalnym problemem zaostrzającym ogólną sytuację w mieście jest sprawa armat, znajdujących się w rękach Gwardii Narodowej i zgromadzonych na wzgórzach Montmartre i Belleville. Stojący na czele rządu Thiers postanowił odebrać je siłą. Clemenceau podczas narady z merami poszczególnych dzielnic u ministra spraw wewnętrznych Picarda 5 marca sprzeciwił się tym planom, obawiał się, iż może dojść do wybuchu walk wewnętrznych. Radził zgromadzić działa w jednym miejscu, straż nad tym centralnym parkiem artyleryjskim pełniłyby po kolei wszystkie bataliony Gwardii Narodowej. Prowadził na ten temat rozmowy ze znanymi sobie oficerami Gwardii z Montmartre, niektórych z nich udało mu się przekonać do swego pomysłu. Dowódca garnizonu Paryża, gen. Vinoy, nie uwzględnił jednak sugestii mera XVIII dzielnicy i 8 marca podjął próbę zbrojnego zajęcia armat. Skończyła się ona fiaskiem. Wrócono więc do propozycji Clemenceau. Ale wówczas swój zdecydowany sprzeciw wyraził czuwający nad armatami z Montmartre ludowy komitet z ul. de Rosiers, planom tym przeciwstawił się także Komitet Centralny Gwardii Narodowej.

Mediacyjna akcja Clemenceau, który czynił wszystko, aby oddalić zbliżające się widmo wybuchu wojny domowej, napotkała więc na trudności i niechęć z obydwu antagonistycznych stron. Mimo wszystko Clemenceau uważał, iż nie dojdzie do najgorszego. W liście do pani Jourdan z 11 marca twierdził, iż wieści o zaburzeniach w stolicy są kłamstwami, rozpowszechnianymi przez koła reakcyjne, aby nie dopuścić do przeniesienia się Zgromadzenia Narodowego z Wersalu do Paryża.

Rząd Thiersa przystąpił jednak do kontrakcji przeciwko buntującemu się miastu. Zostały zamknięte redakcje kilku dzienników republikańskich, przywrócono w interesie burżuazji zawieszone na początku wojny prawa egzekwowania wierzytelności, wstrzymano wypłatę żołdu gwardzistom, który dla służących w tej formacji robotników stanowił zasadnicze źródło utrzymania. Decyzje te biły w klasę robotniczą, stanowiły zamach na swobody republikańskie, wzmagały napięcie i budziły w masach ludowych ducha oporu. Clemenceau raz jeszcze podjął próbę zażegnania narastającego gwałtownie konfliktu. 17 marca uzyskał ustną zgodę na przetransportowanie dział z Montmartre na dziedziniec pałacu Inwalidów pod warunkiem, iż będzie ich strzec Gwardia Narodowa. Ale stojący na czele rządu Thiers nie chciał już żadnych pertraktacji, w tym samym dniu zdecydował, iż nazajutrz armaty zostaną odebrane Gwardii Narodowej zbrojnie, przy użyciu dwóch dywizji wojska. Decyzja ta nie tylko przekreśliła usiłowania Clemenceau, lecz także stała się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny domowej.

Wczesnym rankiem 18 marca 1871 r. dwie dywizje pod komendą gen. Lecomta i brygadiera Susbielle'a ruszyły na wzgórza, miały działać szybko, przez zaskoczenie. Dzwony zaalarmowały Gwardię, w obronie dział stanął tłum mieszkańców Montmartre, było w nim wiele kobiet i dzieci. Gen. Lecomte kazał do nich strzelać, ale żołnierze nie wykonali rozkazu, zbratali się z ludem, aresztowali dowódcę i oficerów domagając się w porywie gniewu i oburzenia jego egzekucji. Zaalarmowany Clemenceau przybył pospiesznie z merostwa na miejsce wydarzeń. Był jednak bezsilny wobec narastającego konfliktu, powrócił więc do urzędu i przy pomocy swych współpracowników zaalarmował władze miejskie i rząd, domagając się z jego strony uspokajających posunięć. Thiers trwał jednak przy raz powziętej decyzji. Tymczasem w ręce zbuntowanych i gwardzistów wpadł ujęty przypadkowo na jednej z ulic Montmartre gen. Clement Thomas, jeden z tych, którzy w 1848 r. krwawo stłumili powstanie robotników paryskich, powszechnie więc przez nich znienawidzony. Gwardziści trzymali nad więźniami straż, ale tłum coraz bardziej rozjątrzony i ogarnięty wściekłością domagał się ich śmierci. Clemenceau ponownie więc, nie bacząc na zagrażające mu niebezpieczeństwo, pospieszył na ulicę de Rosiers. Gdy tam dotarł, było już po egzekucji: zwłoki Lecomta i Thomasa leżały w przylegającym do budynku aresztu ogrodzie. Udało mu się uratować uwięzionych oficerów, tłum po gwałtownym paroksyzmie krwawej, rewolucyjnej zemsty, uspokoił się równie nagle.

Wydarzenia, których był świadkiem głęboko wstrząsnęły Clemenceau. Wielbiąc rewolucję, akceptował jakobiński terror, teraz na własne oczy zobaczył, jak straszny, niemożliwy do zahamowania jest wybuch zbiorowej nienawiści i zemsty. Przeciwstawił się mu jednak z całą namiętnością i odwagą. „Nie jesteście godni wolności!" — wykrzyknął do tłumu. W napisanym wieczorem liście do pozostawionego w Wandei ojca, który w dzieciństwie zaszczepił mu tradycje rewolucyjne i idee republikańskie, stwierdził z goryczą: „Miałem rację, nie chcąc, abyś mi towarzyszył. Cóż byś uczynił podczas tych straszliwych zaburzeń, jest zresztą daleko lepiej prowadzić z całym zapałem walkę o demokrację, jeśli nie uczestniczyło się w wydarzeniach, których ja byłem świadkiem".

W obliczu wybuchu zbrojnej insurekcji ludu, Thiers ewakuował rząd i armię do Wersalu. Postanowił stłumić rewolucję paryską siłą, utopić ją w morzu krwi. Pertraktacji nie wykluczało jednak kilku liberałów będących w jego rządzie, jak Ferry czy Simon. Dla Clemenceau, który był merem zbuntowanego Montmartre a jednocześnie deputowanym do Zgromadzenia Narodowego, otworzyła się więc możliwość prowadzenia negocjacji między wrogimi obozami: Wersalem i Komitetem Centralnym Gwardii Narodowej, który po 18 marca objął władzę w zrewolucjonizowanym mieście.

Akcję tę prowadził z merami tych dzielnic, którzy jak i on pozostali w stolicy Francji. Ich władza była jednak iluzoryczna, za Komitetem Centralnym a nie za nimi stały bowiem uzbrojone oddziały Gwardii Narodowej i wielu mieszkańców miasta, zwłaszcza robotnicy i rzemieślnicy. Merowie początkowo nie zamierzali jednak kapitulować, wyłonili ze swego grona 12-osobową delegację, która pospieszyła do ratusza na rozmowy z Komitetem Centralnym. Clemenceau, mimo wieku, cieszył się w gronie merów dużym autorytetem, on też pierwszy zabrał głos podczas spotkania. W swym zręcznym przemówieniu, maskując słabość własnego ugrupowania, zaatakował Komitet Centralny i zarzucił mu uzurpowanie sobie władzy, przyznając jednocześnie racje ludowi paryskiemu w jego dążeniu do uzyskania samorządu. Wysunął wniosek, aby Komitet ustąpił miejsca legalnemu zgromadzeniu merów, a ci uzyskają od Zgromadzenia to, czego domagają się mieszkańcy stolicy. Na nic zdała się jednak jego retoryka. Dla Komitetu Centralnego rewolucja paryska była faktem dokonanym, a przyszłe wybory, które zamierzał rozpisać, miały wyłonić legalną władzę w postaci Komuny czyli Rady Miejskiej. Mając za sobą poparcie rewolucyjnych mas Komitet nie zamierzał dzielić się władzą z merami, zgodził się jedynie, aby przedstawili oni żądania paryżan na forum Zgromadzenia Narodowego.

Misję tę podjął Clemenceau. W dwa dni później, 21 marca, stanął na trybunie obradującego w Wersalu Zgromadzenia, wśród wrogiej mu, reakcyjnej większości. Dla deputowanych z tego obozu mer z Montmartre był wysłannikiem rewolucyjnego Paryża. „Chyba nie chcecie oblegać Paryża?" — rzucił w twarz swym przeciwnikom i wykorzystując ich zaskoczenie wołał dalej mocnym głosem: „Musicie zrezygnować z użycia siły, pozostaje wówczas jeden środek, który powinien być jak najszybciej zastosowany. Za kilka dni, za kilka godzin będzie może już za późno, Paryż pogrąży się w krwawej walce, której konsekwencji nikt nie może przewidzieć". Według mówcy, Zgromadzenie powinno podjąć natychmiast uchwałę o samorządzie miejskim, aby spełnić życzenia paryżan, a jednocześnie storpedować zapowiedziane przez Komitet Centralny wybory. Argumentów Clemenceau, popartego przez socjalistę Blanca i radykała Birssona, ani Thiers, ani większość reakcyjnego Zgromadzenia nie chciała słuchać. „Wezwijmy prowincję i maszerujmy na Paryż" — zawołał w odpowiedzi admirał Saisset. Według Thiersa stolica Francji, będąca siedliskiem nędzników, nie może uzyskać wyjątkowych dla siebie praw. Zgromadzenie przegłosowało jedynie tekst zawierający zasady wyborów municypalnych, wspólnych dla całego kraju.

Termin wyborów do Rady Miejskiej Paryża Komitet Centralny ustalił na 26 marca, rząd na 3 kwietnia. Większość pozostałych w stolicy merów postanowiła zbojkotować pierwszy termin, jednak Clemenceau zdający sobie sprawę, iż lud pójdzie za Komitetem Centralnym zdecydował się kandydować. W odezwie skierowanej do paryżan argumentował: „niech konflikt zakończy się głosowaniem, a nie zbrojną walką". Wybory zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem zwolenników rewolucji i przywódców ludowego powstania. Clemenceau, który kilka tygodni wcześniej w tak przekonywający sposób został wybrany do Zgromadzenia, tym razem otrzymał zaledwie 700 głosów.

Ze swą akcją mediacyjną mer Montmartre znalazł się między przysłowiowym młotem i kowadłem, wzbudził nieufność po obydwu stronach. Gorzko przeżywał dramat polityka, którego poglądy i działalność nie zyskały akceptacji społecznej. Odrzucony przez rewolucyjny Paryż nie przeszedł jednak na stronę reakcyjnego Zgromadzenia; 27 marca złożył mandat deputowanego. Nazajutrz był świadkiem triumfalnego proklamowania Komuny Paryskiej, realizującej w zaczątkowej formie idee dyktatury proletariatu. Wojna domowa, do której wybuchu Clemenceau nie chciał dopuścić, rozpoczęła się w kilka dni później.

Po pierwszym krwawym starciu między komunardami a wersalczykami, 5 kwietnia, Clemenceau wraz z merem III dzielnicy Bonvalatem założył Ligę Republikańskiej Unii Praw Paryża, której zasadniczym celem była energiczna kontynuacja akcji mediacyjnej, skłonienie walczących stron do zawarcia pokoju w interesie republiki. I tym razem nie przyniosła ona rezultatów. Jedynym realnym osiągnięciem Ligi było przerwanie na kilka godzin ognia 25 kwietnia, w celu ewakuacji z linii frontu mieszkańców Neilly. Wersal widział w Clemenceau, byłem deputowanym do Zgromadzenia, odstępcę, z nie mniejszą podejrzliwością patrzyła na jego działalność Komuna, określając go mianem ugodowca. Liga starała się rozpowszechniać idee rokowań i rozejmu także na prowincji. W tym celu Clemenceau przemawiał w Nantes, Orleanie i Bordeaux. Tu także miał się odbyć kongres zwolenników Ligi. Nie doszło jednak do jego zwołania, gdyż Thiers wydał rozkaz aresztowania emisariuszy. Poszukiwany przez policję listem gończym Clemenceau, kluczące po kraju, postanowił wrócić do Paryża. W tym czasie stolica Francji stała w ogniu zaciętych, ostatnich walk, przejście przez front opasujący szczelnie miasto było już niemożliwe. Clemenceau schronił się więc w rodzinnej Wandei, podczas ostatniego tygodnia walk, w dniach roszalałego terroru wojsk rządowych, był na szczęście dla siebie poza Paryżem.

Czy rzeczywiście zagrażało mu niebezpieczeństwo, czy mógł być jedną z 30 tys. ofiar krwawego odwetu burżuazji? Nie brał przecież udziału w Komunie, nie popierał jej. W oczach wersalczyków był jednak merem zbuntowanego Montmartre, zwolennikiem rokowań i pokoju, a więc zdrajca. Opowiadano, że 24 lub 25 maja w dniach masowych egzekucji komunardów, na ul. Papillon został schwytany przez wersalczyków młody brazylijczyk, podobny do mera XVIII dzielnicy. Wzięto go za Clemenceau i prowadzono pod mur, w ostatniej chwili został uratowany dzięki interwencji swego konsula.

Wir wielkich wydarzeń historycznych wyniósł nagle Georgesa Clemenceau na powierzchnię życia politycznego. W dramatycznych okolicznościach dokonał konfrontacji swych zasadniczych idei z rzeczywistością, wierny swym poglądom z odwagą i determinacją walczył o ich realizację. Gorący patriota w walce o niezawisłość ojczyzny szedł w pierwszym szeregu, biorąc udział w obronie Paryża zyskał uznanie i popularność wśród mieszkańców stolicy Francji. Patriotyzm i republikanizm podyktowały mu postawę, jaką zajął w dniach wojny domowej. Zdawał sobie sprawę, iż konflikt wewnętrzny osłabi siły republikańskiej Francji, uczynił więc wszystko, aby mu zapobiec. Podczas walki pozostał osamotniony. W reakcyjnym Zgromadzeniu Narodowym i Thiersie widział grabarzy republiki, Wersalu nie mógł więc i nie chciał poprzeć. Dlaczego zatrzymał się u bram Komuny, był przecież wielbicielem tradycji rewolucyjnych, wojującym ateistą i antyklerykałem, wyznawcą postępowych poglądów społecznych? Powstanie robotników paryskich nie było jednak jego rewolucją. Komuna Paryska wystąpiła przeciwko burżuazji, a z tą klasą społeczną Clemenceau był mimo wszystko związany wieloma zasadniczymi więzami. Czyż ze swymi arystokratycznymi manierami i wybujałym indywidualizmem zostałby zresztą zaakceptowany przez tych, którzy ramię przy ramieniu walczyli o socjalistyczne państwo? Clemenceau do końca swego długiego życia podziwiał jednak Komunę. W rozmowie ze swym sekretarzem, Martetem, powiedział na kilka lat przed swą śmiercią: „Jakież szaleństwo! Największe w dziejach! Nigdy nie wiedziano, czym była Komuna. Ci ludzie zabijani, rzucani w ogień, zabijają się wciąż na nowo, co za wielkość".

Fragment książki pt. „Stary tygrys", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego

TINA

RECENZJE krytyków muzycznych i wyniki plebiscytów popularności są tym razem zaskakująco zgodne. Tina Turner i jej platynowy album „PRIVATE DANCER" (Prywatna tancerka) zyskał bardzo wysokie noty po obu stronach Atlantyku. W wielu krajach uznano go za materiał wyjątkowo atrakcyjny. Krążek doskonałej głosowo Tiny przyniósł kilka szlagierów, znanych również w wersjach singlowych. Rzecz fascynująca o tyle, że Tina Turner ma za sobą ponad dwadzieścia lat śpiewania, z których ostatni okres nie należał do imponujących. Come back był równie błyskotliwy, co zaskakujący. Longplay „Private Dancer" z mądrze dobranym repertuarem oraz dorównującym mu wykonaniem przekonał niedowiarków o wielkiej klasie czterdziestosześcioletniej gwiazdy. Mnie zachwycił utwór „What's Love Get Do With It" (Co zrobi z tym miłość) — jeden z najciekawszych, jakie słyszałem w ostatnich latach. Znak widomy, iż upływ czasu i zmiany muzycznych mód nie działają deprymująco na formę Tiny. Wręcz przeciwnie, jest ona godna podziwu.

Przed czterema laty ciemnoskóra, szalenie zgrabna artystka gościła w Polsce. Występowała w katowickim „Spodku" i warszawskim „Torwarze" prezentując show, oparty na kompozycjach Beatlesów i Rolling Stonesów. Program recitali Tiny okraszony skąpymi strojami nie rozbudził szczególnych emocji, choć krytycy i publiczność chylili czoła przed jej niepospolitymi zdolnościami wokalnymi. Tak śpiewać potrafią tylko niektórzy. Na sensacyjnej konferencji prasowej, zorganizowanej w „Interpressie", Tina bez żenady opowiadała o blaskach i cieniach kariery oraz kulisach swego bogatego w wydarzenia życia. Zanotowałem wówczas słowa:

— Muzyka jest dla mnie od wielu lat najistotniejszą treścią. Nie wiem, czy w ogóle potrafiłabym bez niej żyć. Muzyka to coś więcej niż fascynacja. Obecność na estradzie daje mi potrzebny relaks i dziką rozkosz. Inspiruje do nowych przedsięwzięć. Zgadzam się z wypowiedziami piosenkarzy, że monotonia nie jest wskazana w moim zawodzie. Faktem jest, że po rozwodzie z Ikem byłam kompletnie rozbita i nie potrafiłam odnaleźć się muzycznie. Bałam się, że czar muzyki bezpowrotnie pryśnie. Przytłaczało mnie wiele spraw, a nie mogłam liczyć na niczyją pomoc. Na szczęście, wszystko złe minęło. Teraz chcę wciąż czuć się młodą i śpiewać, śpiewać, śpiewać. Dlatego z ochotą angażuję się do nagrań innych wykonawców. Nie zastanawiałam się dotąd, czy moje, podobno prowokacyjne, stroje i bardzo sexy zachowanie na estradzie przystoi dojrzałej kobiecie. Ale ja nie potrafię być przy muzyce chłodna. Tańczę, skaczę, szaleję w jej rytm i to mnie podnieca, daje satysfakcję. Energia mnie wręcz rozsadza. Nie zamierzam szybko zrezygnować z podróży po świecie i śpiewania. Wierzę, że już wkrótce uda mi się zaskoczyć słuchaczy i powrócić w lepszej kondycji na listy przebojów.

Wypowiedź Tiny okazała się prorocza. W trzy lata później z pomocą producentów — aranżerów Martyna Ware'a i Grega Walsha nagrała płytę uznawaną za najciekawszą w jej dotychczasowym dorobku. Zmysłową muzykę z mocno wyeksponowanym rytmem napisali dla niej Terry Britten, Donald Bryant, Willie Mitchell, Paul Brady, Mark Knopfler i David Bowie. Czy w tej sytuacji można dziwić się nieprawdopodobnemu powodzeniu piosenek Tiny? Jej ekspresja i zadziorność w głosie w połączeniu z sugestywną linią melodyczną zdolne są poruszyć bez przesady każdego.

Annie Mae Bullock (bo tak naprawdę nazywa się niezwykła artystka) pochodzi z miasteczka Bronsville w stanie Tennessee. Jak większość jej murzyńskich koleżanek śpiewała w młodości gospel w chórze kościelnym. Była bardzo zdolna, ale nie myślała o karierze estradowej. Muzyką na serio zaraziła się od starszej siostry Aillene (obecnego impresaria Tiny). Pod jej wpływem Annie opuściła dom i przeniosła się do St. Luis. Tam ukończyła gimnazjum i poznała szefa zespołu, w którym siostra grała na perkusji — Ike'a Turnera. Był to zdolny śpiewak, gitarzysta i kompozytor. W 1958 roku Ike i Annie (nazwana przez męża Tiną) zawarli małżeństwo. Ich związek trwał 16 lat. W tym czasie zdołali zadziwić nie tylko Amerykę. Największe powodzenie święcili w latach 1960—68. Wtedy to wspólnie z zespołem King of Rhythm i grupą wokalną Ikettes wylansowali wiele światowych przebojów. Tina grała w nich oczywiście pierwszoplanową rolę. „River Deep, Mountain High", „I Gonna Work Out Time", „I Pity the Fool", „A Love Like Yours", „Proud Mary", „With A Little Help From My Friends", „Honky Tonk Woman" i „Natbush City Limits", to tylko niektóre ze złotych tytułów duetu Ike i Tina, podziwianego za fantastyczne zgranie, temperament wykonawczy i niezwykły show na estradzie. Program był miksturą kompozycji Ike'a oraz znanych twórców pop music i rocka. Seksowna Tina chętnie pokazywała się na ekranie. W 1971 roku wystąpiła w filmie „Soul To Soul" i pierwszym za Oceanem dziele Milosza Formana „Taking Off".

Tina Turner w Warszawie.
Fot. Leopold Dzikowski

Później grała rolę Acid Queen w głośnym obrazie Kena Russella „Tommy".

Rozstanie z mężem nie przerwało kariery ciemnoskórej wokalistki, jakkolwiek na pewien czas wyeliminowało ją ze sceny. Przytłaczały ją wtedy obowiązki rodzinne i troska o przyszłość. Z życiowej próby wyszła jednak zwycięsko. Po dwóch latach niełatwych zmagań i wysiłków odnalezienia siebie na nowo. Tina powróciła na estradę z premierowym programem. Opierając swój program na rocku i bluesie znów potrafiła być ciekawa i chętnie słuchana. Nie świeciła jednak aż takich triumfów, jak za czasów małżeństwa z Ikem. Krytycy wciąż podkreślali jej nieprzeciętną osobowość i głos, jakim obdarzyła ją natura. Natomiast słuchacze byli co nieco zdegustowani płytami „Rough", „Love Explosion" czy soundtrackiem „Autobiography Of Miss Jane Pittman".

Na życiowy sukces przyszło jej czekać prawie pięć lat. Kiedy krytycy skłonni już byli upatrywać zmierzchu kariery matki czterech dorosłych muzyków, ona zaskoczyła wszystkich niezwykłą płytą. Longplay „Private Dancer" wzbudził sporo emocji i w pięknym stylu wskoczył na światowe listy bestsellerów, zapowiadając wielki come back temperamentnej Tiny.

Jestem przekonany, że w ślad za „Private Dancer" pójdą następne, równie wspaniałe dźwiękowo krążki. Talenty wokalne nie rdzewieją — zdaje się mówić z okładki ostatniego albumu śmiejąca się Tina Turner. Ta kobieta obok zmysłowego głosu i niezwykłego wręcz wyczucia frazy ma jeszcze nieprzeciętne pomysły i ogromną wręcz siłę przebicia. Warto o tym pamiętać!

Istvan Grabowski

Ekran i widz

Kapłanka rocka w podróży

Z WPROWADZENIEM na ekrany filmu Waldemara Szarka „Czuję się świetnie", będącego pełnometrażowym „dokumentem" o znanym polskim zespole rockowym MAANAM, kierownicy kin wiązali nadzieje na tłumy młodzieży oraz — pełne kasy. Tymczasem — nic z tego. Film nie tylko nie cieszy się powodzeniem, ale, co więcej: widziałem podczas seansu ludzi opuszczających widownię. I nie byli to ludzie starzy, którzy na film trafili przypadkowo, lecz należący do tej właśnie kategorii wiekowej widzów, ku której skierowana jest twórczość i od-twórczość MAANAMU, którzy wciąż jeszcze znajdują się pod urokiem Kory — piosenkarki Olgi Jackowskiej, jej „Nocnego patrolu", „Zdrady" i tylu innych utworów.

Ten fakt pustawych sal kinowych można by wiązać, oczywiście, przede wszystkim z zaznaczającym się coraz bardziej spadkiem popularności wielbionego jeszcze tak niedawno przez fanów — zespołu, ze spadkiem twórczej formy spółki autorskiej Marka i Olgi Jackowskich i „zwyżkowaniem" na estradowym rynku takiego na przykład „Lady Pank". A także, być może, z pewnym opatrzeniem się, ze swoistym przesytem polskimi zespołami rockowymi, często nader miernej jakości, których produkcjami zawalały nas wręcz, w ostatnich kilku latach, radio i telewizja.

Wydaje się jednak, że główny problem tkwi gdzie indziej. Otóż „Czuję się świetnie" Waldemara Szarka należy do kategorii filmów ambitnych mimo stwarzania pozorów, że mieści się on w kategorii kina popularnego. Tymczasem to tylko postawiony przez reżysera przed kamerą rockowy zespół cieszy się — czy też: cieszył się do niedawna — popularnością wśród szerokich rzesz zwolenników muzyki młodzieżowej; Szarek nie miał zamiaru zrealizowania mogącego „chwycić" kolorowego teledysku, który by usatysfakcjonował tak zwanego masowego widza, i... tu jest właśnie „cały pies pogrzebany"...

Od czasów, gdy — z górą dwadzieścia lat temu — Richard Lester zrealizował w Anglii swój pierwszy film o słynnej „Czwórce z Liverpoolu", „The Beatles", realizatorzy kolejnych filmów prezentujących popularne młodzieżowe zespoły muzyczne i ich „hity", podążają — w mniej lub bardziej udany sposób — nakreśloną wówczas przez niego drogą. Ogólnie rzecz biorąc, ma to być prezentacja poszczególnych piosenek, występów estradowych zespołu, powiązana prostą, najczęściej dowcipną, fabułą, żeby film miał jakąś ciągłość i „trzymał się kupy". Czasem — jak właśnie u Lestera — otrzymujemy błyskotliwą, inteligentną obserwację socjologiczną i psychologiczną młodzieżowej społeczności — „fanów" prezentowanego zespołu, kiedy indziej, jak np. w przypadku australijsko-szwedzkiej „Abby" Lasse Hallströma, wiążąca filmowe wykonania popularnych piosenek — fabuła, sprowadza się do — w mało pomysłowy sposób wykoncypowanej i jeszcze mniej udatnie zrealizowanej — pogoni radiowego czy też telewizyjnego reportera za szybko przemieszczającym się z estrady na estradę, z miasta do miasta — zespołem. W tym ostatnim przypadku otrzymujemy, poza muzyką, dodatkowo efekty „krajoznawcze", „widokówkowe", ale nic poza tym.

Waldemar Szarek, jak się rzekło, założył sobie realizację filmu ambitnego. A więc takiego, w którym ukazywany na ekranie popularny zespół rockowy i jego estradowe produkcje stają się pretekstem do ukazania całego naszego „rockowego problemu" w kontekście szerszym; już nie tylko muzycznym, „rozrywkowym" ale też — społecznym, obyczajowym, kulturowym, sui generis — „filozoficznym", nawet w odniesieniu do szerokich mas polskiej młodzieży doby dzisiejszej.

Kora wraz z MAANAMEM podróżuje eleganckim autokarem z koncertu na koncert poprzez polskie wioski i miasteczka. Lecz ta podróż nie jest dla reżysera okazją dla przedstawienia walorów turystyczno-krajobrazowych Polski. Szarek stara się pokazać przeciętność bytowania tamtejszej młodzieży, jej dzień powszedni i... jej marzenia o innym życiu, innych perspektywach. Ulubiony zespół rockowy, ze swą „wielkomiejskością", „światowością" (krajowe i zagraniczne podróże, nagrania, koncerty), niekonwencjonalnością, życiową dezynwolturą, ma — poprzez swoistą identyfikację z nim — wypełnić lukę w szarej egzystencji rodzimych fanów... W tym miejscu „Czuję się świetnie" przeradza się w fascynujący „reportaż" o tematyce młodzieżowej.

Szarek jest z wykształcenia operatorem filmowym. I widać od razu, że jest operatorem doskonałym: zdjęcia z występów MAANAMU należą do najlepszych, najciekawszych, najbardziej pomysłowych, jakie oglądałem w tego rodzaju filmach. Ale dla „szerokiej widowni" tego rodzaju filmowanie jest zbyt „wyrafinowane", zbyt „nudne"; szeroka widownia zbyt się ostatnio opatrzyła na różne komiksowe „gwiezdne wojny" i żąda bardziej „technicznego" niż artystycznego perfekcjonizmu operatorskiego, niestety...

Wreszcie: spróbował Szarek wzorem Lestera z „Na pomoc!" czy Michaela Schultza z „Orkiestry Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza" wprowadzić do „Czuję się świetnie" element zabawowości, purnonsensowego humoru, surrealizmu, autokpiny i autoironii. Ze wspomnę choćby tylko sekwencję „szkolną", w której niby to jedna ze szkół przyjmuje imię „znanej poetki" Olgi Jackowskiej a na lekcjach języka polskiego dokonuje się analizy i „rozbioru" jej wierszy... I ta „warstwa" filmu udała się już chyba reżyserowi najmniej: może po prostu nie potrafił Szarek wpleść jej dostateczne umiejętnie w całość swojej „fabuły".

Film Szarka, przy wszystkich „chropowatościach" i artystycznych potknięciach, zapowiada ciekawego reżysera. I dlatego — o paradoksie! — więcej zainteresuje widza starszego, filmowo „wyrobionego", który jednak może nań trafić jedynie przypadkowo...

M. D.

— 10 —

ODSZEDŁ, dziwacznie stawiając długie nogi. Bar był już pełen ludzi; powietrze stało się mętne od dymu, twarze siedzących przy stolikach — rozmazane. W kącie pod oknem pijane towarzystwo śpiewało kujawiaka: „Zawalił się sracz". Raz po raz brzęczał dzwonek umieszczony nad drzwiami; ludzie wchodzili i wychodzili. Z okienka do kuchni co chwila wychylała się tłusta twarz kucharza; dwie tandetnie umalowane kelnerki szybko odbierały talerze i roznosiły do stolików. Nagle w drzwiach powstał rumor; otworzyły się gwałtownie i stanął w nich gruby, barczysty mężczyzna w gumowym fartuchu. Trzymał przed sobą beczkę, równie pękatą jak i on sam.

— Piwo! — zaryczał nadludzkim głosem. — Miejsce! Raz, dwa, szefowa bo nie ma czasu!

I potoczył się z beczką w stronę bufetu; w jego ogromnych, czerwonych rękach sprawiała wrażenie dziecinnej lalki.

— Piąta — powiedział w zamyśleniu Kuba patrząc na beczkę. Wzdrygnęło nim. Starał się co prędzej pomyśleć o czymś innym.

— Niedobrze ci? — zapytał Władek. Twarz miał rozmazaną, wzrok Kuby ślizgał się po niej bezradnie nie znajdując punktu oparcia. — Słabo ci? — powtórzył.

— Skądże — zaprzeczył gorąco Kuba. — Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak teraz. Władek!

— No?

— Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

— Wracają do domu — powiedział z namysłem Władek; potarł przy tym kędzierzawe skronie. — Pracują, czytają, bawią się z dziećmi...

— Głupstwo — przerwał niecierpliwie Kuba. — Władek, morda złota, posłuchaj mnie! Ja pytam, pytam, pytam. Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

Wpatrzył się strasznymi oczyma w twarz Władka; wykonał przy tym gest, jakby chciał go złapać za gardło. Władek spojrzał na jego rozczapierzoną dłoń, przełknął ślinę i powiedział szybko:

— Porządni ludzie o godzinie piątej wieczorem piją czystą wódkę z czerwoną kartką w barze „Pod orłem"

— „Pod orłem" — powtórzył Kuba. Rozpogodził się natychmiast; przytulił Władka do siebie i pocałował go w skroń. Odwrócił się i krzyknął do bufetowej: — Lalka dwie wódeczki dla nas!

Podeszła; w ręku trzymała jakiś zwinięty plakat.

— Jedną chwilę — rzekła. — Muszę to przybić na ścianie. Przysłali dzisiaj z centrali. Muszę przybić, bo przyjdzie inspektor, zobaczy, że nie wisi, i będę miała przykrości...

Podsunęła sobie krzesło i weszła na nie. Młotek włożyła pod brodę, lecz wymknął jej się.

— Ja pani pomogę — rzekł Kuba. Stanął na krześle za nią. Całym ciałem przytulił się do jej pleców. Szybko wbił cztery gwoździe. Potem zszedł. Odsunął się o dwa kroki i przeczytał: „Walka z alkoholizmem to twój obowiązek społeczny".

— Kiedyś — powiedział w zamyśleniu Władek patrząc na Kubę — w tym samym miejscu wisiał plakat: „Śpij spokojnie — ORMO czuwa". Nie pamiętam już, co było wyrysowane.

— Niech pani naleje dwie wódki — powiedział Kuba bezbarwnym głosem; w uszach narastał mu szum. Odwrócił się do Władka. — Skąd wiesz? — zapytał.

— Piję tu wiele lat — rzekł Władek. — Widziałem mnóstwo ludzi w tym lokalu, nie masz pojęcia, ilu. Tak czy nie, pani szefowa? — zwrócił się do bufetowej.

— Oj, panie Władziu — rzekła napełniając kieliszki. — I co dobrego z tego wynikło?

Kuba wzruszył ramionami.

— Nie ze wszystkiego muszą wynikać dobre rzeczy — rzekł gładząc rękę bufetowej. — Byłoby to w końcu nudne. Tak czy nie?

— Mężczyźni, mężczyźni — powiedziała.

Uśmiechnęła się; był to najpiękniejszy uśmiech, jaki Kuba otrzymał w swoim życiu od kobiety. Zapisała sobie coś na swoich karteczkach i odeszła; Kuba patrzył na nią z bezmierną wdzięcznością. Władek zapytał tępo:

— Kto ty jesteś?

— Polak mały.

— Nie wygłupiaj się. Powiedz, kim jesteś.

— Kim byłem?

— Jesteś zalany — powiedział Władek. — Chociaż nawet nie wyglądasz. Dlaczego nie chcesz gadać?

— To nieważne — rzekł Kuba. — Naprawdę nieważne. — Jestem twoim kochanym znajomym z baru „Pod orłem" Starczy.

— Dlaczego pijesz?

— To również nieważne — powiedział Kuba. Bawił się od niechcenia fajansową popielniczką. Nagle twarz jego wykrzywił zły grymas. Postawił z trzaskiem popielniczkę i pochylił się ku Władkowi.

— Nieważne — powiedział trzeźwym, przeraźliwie ostrym głosem. — My, którzy pijemy, wiemy przecież, że to nieważne, dlaczego... Może jestem samotny? Może mnie nikt nie kocha? Może odeszli ode mnie wszyscy? Może zdradziła mnie dziwka, bez której nie mogę oddychać? To nieważne... Nie ma takiego nieszczęścia, samotności, klęski, kobiety, która warta byłaby wódki. Ale o tym wiedzą tylko ci, którzy wszystko przepili i którzy muszą pić. Nigdy nie uwierzą w to ci, którzy dopiero zaczynają. Zawsze mnie śmieszy, kiedy słyszę, jak ktoś kogoś powstrzymuje. Wódka jest prawdą, którą rozumie się zawsze zbyt późno. Pijak rozumie swoje życie dopiero wtedy, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte... — Oczy Kuby stały się nagle czujne. — Miałem zły dzień — powiedział. — Miałem dzisiaj zły dzień — powiedział. — Miałem dzisiaj zły dzień w tym mieście. Przepiłem go. Ale to już koniec. Mam jeszcze jedną nadzieję, której się trzymam. Jeśli to nie pomoże... — przerwał. Znów począł bawić się szkaradną popielniczką. Potem roześmiał się sztucznie i rzekł: — Do diabła z tym wszystkim. Nie lubię zwierzeń. Napijmy się, Władek...

Wypili; bufetowa podeszła i napełniła bez słowa. W drugim końcu bufetu jakiś chłopak w watowanej kurtce krzyczał trzymając swego kolegę za ramię:

— Ja nie mogę bez niej żyć. Ja zrobię z sobą coś strasznego. A jeszcze przedtem z nią... — Zwrócił się do harmonisty i krzyknął: — Panie Poldku! Graj pan „Dzień dla dnia..."

Harmonista pochylił głowę i zaśpiewał:

A przecież kiedyś była jesień
Wiatr jesienny szczęście nam gnał.
Byliśmy tacy zakochani.
A co teraz? Teraz —
Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień.
Zepsuty zlew, za oknem mgła...

(cdn.)

POCZTA LITERACKA

Eugeniusz Z. Połtawa. Jest Pan zapewne nieśmiały, skoro pośredniczył w dostarczeniu nam Pańskich wierszy kolega RW z Warszawy. Z informacji do nich dołączonej wynika, że jest Pan poeta ukraińskim piszącym po polsku. Dłuższy utwór pt. „Nostalgia kresowa" wyraźnie jednak mówi, iż Pańskie możliwości poetyckie są nikłe: nie znalazłem w nich nic oprócz oczywistych stwierdzeń. Nie budzi on nadto nadziei, że inne utwory tego samego pióra mogłyby okazać się lepsze. Niech Pan jednak nie wysnuje z tego opacznych wniosków: na naszych łamach drukowaliśmy wiele utworów ukraińskich poetów, również i tych, którzy piszą po polsku.

Ewa O. Opole. Niepewność w Pani liście, niepokój w prozie poetyckiej... Nasuwają się pytania: kreacja to, uprawnienia lirycznego i a? Wiersze są spokojniejsze, ale mało ich, trudno mi spełnić Pani życzenie i o nich wyrokować. Całość przesyłki budzi jednak zainteresowanie. Proszę o więcej, aby ułatwić mi diagnozę!

Wawrzyniec P. Lublin. Proponuje to samo, co wyżej. Nie potrafię zyskać pewności: warte są dyskusji Pańskie wiersze, czy nie? Są wyrozumowanym wywodem bez udziału uczucia, czy zamiarem chłodnego ukazania własnej boleści? Lektura „Noe" i „Posłuchaj" podpowiada takie właśnie pytania.

PS. Także w tym roku apeluję do moich korespondentów: Przysyłajcie swoje listy, dbając bardziej o ich czytelność! Najlepiej maszynopisy i to nie odległe kopie (nasuwa to myśl, że inne egzemplarze tego samego utworu znajdują się w wielu redakcjach), wyraźne rękopisy, imiona, nazwiska i adresy. Pożądane są także jakieś wiadomości o autorze, co pozwala lepiej rozumieć i odczuć jego wiersze bądź prozę.

TJ

Krzyżówka nr 6

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworzą trzecie litery pierwszych 17 wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki diagramu odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne końcom zdania.

Wyrazy pomocnicze:

1. szybkość — 145, 9, 60, 103, 3.
2. ciasto z miodem — 89, 8, 36, 14, 47, 81, 84.
3. Kujawski lub ulica w Warszawie — 12, 33, 30, 125, 55.
4. były przed komputerami — 126, 118, 66, 83, 114, 140, 72, 26.
5. poetycki oddech — 122, 82, 67, 113, 38, 136, 48, 19, 75.
6. niepowszedni dzień — 4, 68, 96, 44, 85, 132.
7. rzutnik — 21, 146, 110, 40, 52, 78, 63, 15, 87.
8. budowla obronna — 74, 116, 90, 70, 97, 27, 39.
9. pracuje w lesie — 76, 22, 129, 31, 35.
10. człowiek sędziwy — 45, 13, 71, 62, 93, 56, 127.
11. młoda zieleń — 123, 147, 98.
12. wymowa — 6, 130, 117, 111, 25, 128.
13. rośna na głowie — 142, 109, 79, 42, 24.
14. karmienie — 106, 102, 64, 28, 92, 18, 43, 49.
15. do upolowania — 91, 135, 5, 29, 51, 34, 65, 53, 100.
16. mąka z drożdżami i mlekiem — 95, 141, 99, 23, 73, 16.
17. kabel — 37, 108, 112, 46, 80, 86, 105.
18. metal kolorowy — 120, 54, 119, 94, 50.
19. wielkie rzesze ludzi — 2, 144, 77, 115, 88.
20. jezioro i miasto na Mazurach — 10, 133, 124, 17, 121, 59.
21. ptak Picassa — 137, 104, 101, 41, 131.
22. pisze wiersze — 148, 134, 20, 57, 61.
23. wieczorna i poranna wilgoć — 32, 58, 69, 149.
24. rzeka z historii Wojska Polskiego — 133, 1, 107.
25. część uprzęży — 139, 7, 11, 143.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Pan ma osiemnaście lat, w tym wieku miłość ojczyzny to przygoda z romansu Walter Scotta, ale niech pan pamięta, ojczyźnie potrzebni są fachowi urzędnicy; ojczyzna to administracja, przemysł, szkoły, sądy. I policja także.

Kazimierz Brandys
„Romantyczność"

Szyfrogram literacki

		1	2	3	4		5	6	7	8	9		10	11	
12	13	14	15	16	17		18	19	20	21	22	23	24	25	26
27	28	29	30	31			32	33	34	35	36	37	38	39	40
41		42	43	44		45	46	47	48	49		50	51	52	53
54	55	56		57	58		59	60	61	62	63	64	65	66	67
68	69	70	71	72	73		74	75	76	77	78	79	80	81	82
83		84	85	86	87	88		89	90	91	92	93		94	95
96	97	98		99	100	101	102		103	104	105		106	107	108
109	110	111	112	113	114	115		116	117	118	119	120		121	122
123	124	125	126	127	128		129	130	131	132	133	134	135	136	137
138		139	140	141	142	143	144		145	146	147	148	149		

Za prawidłowe rozwiązanie nagrodę wylosowała Zofia Marcykiewicz, ul. Kościuszki 1/3, 26-530 Wierzbica k. Radomia.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/I.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93 dział publicystyki i literacki 275-33.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 480/83. 6.03.1985. 1-4.

Opuszczony fragment „Pana Tadeusza” (?)

11/12 numer miesięcznika „Poezja” z 1984 w całości był poświęcony „Panu Tadeuszowi” Adama Mickiewicza; właśnie minęło 150 lat od opublikowania tego dzieła. W „Poezji” znalazła się też osobno rubryka pt. „Parodie”, a w niej „Opuszczony fragment »Pana Tadeusza«”. Drukujemy go z komentarzem Bohdana Drozdowskiego.

Tak by było, choć nam to dzisiaj nie do smaku,
gdyby rodak w huncwocie, nie huncwot w rodaku
brał przewagę, gdy przyjdzie do kłótni czy swaru.
Lecz się zawsze rębajłów wysforuje paru,
którym pilno łby siekać, dowodzić swych racji,
ryć szpadlem Targowicy grób Konfederacji...
Ten stawi na Prusaka, inszy na Moskala
nie dbając, że obukroć własne gniazdo kala.
Toż myśmy sami wprzódy z ich brudnych łap jedli
mniemając, że ich zwodzim, gdy oni nas zwiedli! —
Tu Ksiądz łzę otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
Wojski szepnął: — „Bogdajbym tej hańby nie dożył”.
Tadeusz słuchał pilnie. Te niedawne dzieje
skrzypiały mu jak gumna zeschnięte wierzeje,
że się działy nim na ten świat boży zawitał;
Podkomorzy wąs szarpał, Wojski zęby zgrzytał,
Zosia zezem na profil patrząc Tadeusza
czuła jak pod staniczkiem rozmięka jej dusza;
gdybyż choć spojrzał na nią, nawet w gęstym mroku
dostrzegłby płomień żarki w jej panieńskim oku...
Widziała, jak z ud zbierał mrówki Telimenie,
jak się giął do jej krągłych kolan uniżenie,
kołysał ją miarowo jak jeździec gdy drzemie
wsparty zadkiem o siodło, a stopą o strzemię;
i tak jechał chwil parę, aż głowę podrzucił,
sapnął cicho jak gdyby psalm duszny zanucił
i opadł na jej piersi, tuląc skroń do sutka.
Szepnęła: „Ach, jak krótka była to minutka...
Takeś mnie był ucapił w twoich ramion kleszcze...
Nie czmychaj, Tadeuszku, Tadeuszku — jeszcze!”
Minutka? Zosi scena ta zdała się wiekiem...
To głos rogu Wojskiego buczeniem dalekiem
wyrwał Zosię z majaku... Skoczyła jak łania,
śród trzaskania gałązek, śród szyszek chrupania —
poderwał się Tadeusz, siadła Telimena:
„Któż to? Kto to? Ktoś widział?” Ach, to była scena!
Zosia od niej nie może oderwać pamięci,
patrzy na Tadeusza, w główce się jej kręci,
cała się myślą daje onemu spotkaniu,
nagle krzyk z jej usteczek wyskakuje: „nianiu!”
Tadeusz wzrok obraca, widzi Zosię w zmierzchu,
ale słysząc jej „nianiu” widzi ją od wierzchu
mając za dziecię jeszcze, które niani wzywa,
gdy ksiądz Robak rdzę hańby z tarcz Ojczyzny zrywa,
gdy rany rozszarpuje u grobu wolności,
by się zaróść nie mogły błonami podłości.
„Cóż ci to, Zosiu?” pyta, podchodząc do Zosi,
Zosia rzęsy ku górze jak firanki wznosi,
patrzy na Tadeusza okiem nielękliwem,
powleczonym przedziwnym, nowym dla nich szkliwem
i szepce: „Jam widziała...” „Coś, Zosiu, widziała?”
„Jam widziała was dwoje” „A to ci kabała!”
„Myśliłem, że to sarna albo dzik hałasił!”
„Widziałam, jakeś ty się do jej kolan łasił...”
Ujął dłoń jej Tadeusz, położył na ustka,
„Pst! Nic nie mów, nic było, bo ostała pustka...
To się samo... Marzyłem, w istocie, o tobie...
Tak się już od tygodni zbieram i sposobię,
by ci wyznać...” „Więc wyznaj!” Towarzystwo słucha,
nawet miesiąc nadstawia miesięcznego ucha,
Woźny dzbany obnosi, dopełnia puchary,
żeby winem choć zalać stare bratnie swary...
I Tadeusz rozumie wreszcie: krew nie woda,
Zosia wszak to nie ciotka, miłość nie przygoda,
tu się człowiek zaplątać może nie na żarty,
nie ma rady, czas odkryć wszystkie swoje karty;
„Widzisz — mówi Tadeusz — marny to kochanek,
co to wziąwszy dar panny najdroższy — jej wianek,
wstawszy z łoża na wojnę idzie nie mieszkając...
Rad bym ci służył, Zosiu, ale czy ja zając?”
Ksiądz Robak, o Sędziego wsparty ramię dłonią,
rzecze: „Ojczyzny jedno cnoty nasze bronią,
jak ją przywary grzebią, że jest pogrzebiona —
szukają nasi wsparcia u Napoleona...”
„Owóż” — szepcze Tadeusz, czując oddech Zosi
jak jest śpieszny, jak piersi jej kształtne unosi,
czuje jak jej paluszki dłoń jego ściskają...
„Chcesz uciec?” — „Uciec? Przed czym?” „Że ludzie gadają!
Telimena nie tai wszak, że cię uwiodła!”
„Telimena! Kobieta! Puch marny!” „Jest podła!
Niby cię ze mną swatać chce a pierwsza bierze!...”
„Cóż ja? — Tadeusz na to — Puch mleczu, źdźbło, pierze,
że mnie można przedmuchać raz w prawo, raz w lewo?
Czy z niej koza a ze mnie przychylone drzewo?
Nie uciekam, ja muszę, kiedy tyle młodzi,
tylu żonatych od żon, od dzieci uchodzi
za granicę, pod znaki narodowe bieży?
Choćbym chciał zostać, czy to ode mnie zależy?”
Słuchaj, co Robak prawi o swoich przygodach...
Księżyc lezką zaświecił w Zosinych jagodach...
Chrzciciel, co sterczące z boku sączył milczkiem wino,
a w piciu, jak w robieniu mieczem, z dawien słynął,
mruknął wreszcie do Maćka, co wsparty na szabli
chwiał się jak gałąź chmielu: „Ciech to wszyscy diabli,
gdybym ja w Tadeusza był wieku, Bóg miły,
zmierzyłbym zamiar stary na dzisiejsze siły...”
Kropiciel, w kucki siedząc u nogi Stolnika,
czknął masywnie: „Opłatasz, waćpan, z tego wnyka
co nam Moskal założył pospołu z Prusakiem,
cało ujść można jeno cofając się rakiem;
nie wierzę ja w te jakobińskie Napoliony,
choćby tu i zbłądziły kiedy w nasze strony —
ruszysz naprzód: wnyk szarpnie i grdykę nam zdusi:
żyć możem z Rusią w braci, nigdy przeciw Rusi!”
„Bluźnisz!” Stolnik mu w odpór, a Brzytwa do wtóru:
„Bluźnisz! — doda — Moskala trza przyprzeć do muru...”

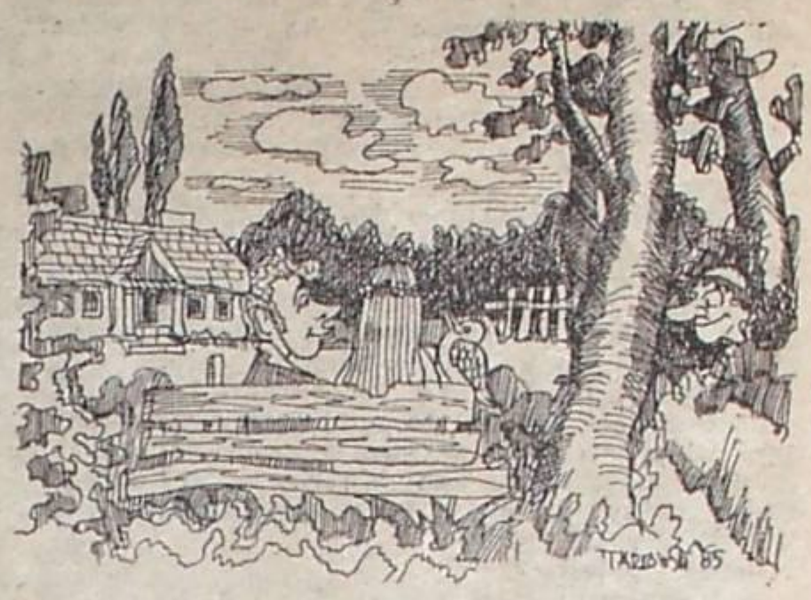

Rys. Józef Tarłowski

„Leżąc, jako my leżym?” Kropiciel odpowie.
Wojski, czując wiew swaru, w rzecz wstąpi: „Panowie!
Chwila, choć jest po temu, by w popioły dmuchać —
ksiądz Robak wszak nie skończył, raczcie go dosłuchać!”
„Niech mówi!” Brzytwa na to. „Dzięki” Robak rzecze,
„rzecz w tym, że koncept Polski rdzawy jako miecze;
miecz w krwi oczyścić możem, koncept w pocie czoła,
Szatan ma przeciwciało w ciele Archanioła,
w nas, bo, mniemam, i Szatan, i Archanioł siedzi,
Archanioł śpi, Szatana futrują sąsiedzi;
czas zbudzić Archanioła, to się da, niestety,
jedno gdy mu francuskie przypiąć epolety
do skrzydeł...” „Tadeuszu! — szepnie Zosia — słyszysz?”
„Słyszę — Tadeusz na to — słyszę jak ty dyszysz
i nie wiem, Bóg mi świadkiem, jak się mam zachować,
rad bym cię niechał całą, więcej rad nadpsować...”
„Czyń, coć milsze, mnie takoż to i milszym będzie...”
„Nie tłamsi kogut kury, gdy kura na grzędzie...”
„Pójdź więc za mną, panowie nie wypatrzą w mroku,
że nas nie ma, gdy Polskę mają na widoku...”
Poszła przodem i znikła w wieczornym oparze.
Księżyc oko przez chmury raz po raz pokaże,
zniknie w wełnie, znów wyjrzy czy się dobrze skryli,
Tadeusz myśli plącze, Zosia w onej chwili,
omijając co kruchsze pod stopkami chrusty,
z otwartymi oczyma, z zamkniętymi usty,
jako lisicia zwinna, kuna albo łania,
sunie pewnie ku onej Świątyni Dumania,
w której Tadeusz nieraz bawił z Telimeną.
Przystanęła u celu. Ma-li grzech być ceną
cnoty? I przeto tylko, że ciotka tej panny
na cześć jego męskości wznosiła hosanny —
nim wyruszy na boje — tu ma krwi utoczyć?
„Wola boska i skrzypce! Co się będziesz droczyć”
rzekł w sumieniu Tadeusz, stanąwszy przy Zosi.
Lewą dłoń ku jej piersi jak wiatr liść unosi,
prawą kładzie na talii i osuwa niżej,
czując jak mu prąd bystry przepływa przez krzyże,
dzwon w skroniach brzęczy, białe ud kolumny
rozstępują się z wolna, wionie wietrzyk szumny
i rozchyla koronki... Wiatr studzący! biada!
Czuje Tadeusz jak zeń chęć wszystka opada,
jak mięknie jego męstwo, murszeje w nim dusza;
Zosia czeka, biodrami niecierpliwie rusza,
tai oddech, otwiera zdumione oczęta;
mech stłamszony, sukienka wilgocią pomięta
i nic? Główkę unosi, dłoń z karku mu zdejmą,
patrzy, milczy, brew marszczy... Bestyjka uprzejma,
insza by się żachnęła, zaśmiała i siadła...
Bywa, że człek zbyt głodny nim sięgnie do jadła —
mdleje... Tego się panna nie mogła spodziewać,
wstaje, poczyna to co z niej zdjął — na się wdziewać,
milczy przytem... On myśli jak barany zbiera,
„nuże, bratku, stryj tyle na cię łaja, gdera,
że jej nie chcesz i nie chcesz” Złapie ją za suknie,
Zosia krzyknie, przyklęknie, czółkiem w kark go stuknie,
i, opadłszy na ziemię, otwiera do krzyku
ustka w kształcie podkówki... krzyk więźnie w staniku...
Gdy wrócili, panowie bracia, stojąc kołem
trzymali się za ręce. Z podniesionym czołem
ksiądz Robak kończył powieść: „ — Tak było w Italii...”
Zosia dłoń Tadeusza zdejmie ze swej talii
i patrząc w twarz księżyca odsłonioną z chmury
szepnie: „Skończone wreszcie dziewictwa tortury...”
A Robak swoje dalej: „... tak Suwaruf w charta!
Gdzie się podział Bonapart? Szukać Bonaparta!
Dał nam w skórę Suwaruf jako zawdy dawał,
Dąbrowski cudem uciekł. »Zrobiłem wam kawał,
mości-moje-Polaki« rzekł Suwaruf w Novi,
wyszedłszy na spotkanie jeńcom, »niech kto powie,
że się dobrze nie znamy...« W czerwonej rubasze
wyszedł nam na spotkanie. Świeciły pałasze
jego gwardii przybocznej a my już bez broni...
Suwaruf głową skinie, w pas nam się pokłoni
i prosi na pokoje, gdzie przygotowano
ucztę na cześć zwycięzcy. Powiadam waćpanom,
ja tego nie zapomnę... On toastem krasi
zdrowie tej naszej, polskiej, legionowej Basi,
która w piosence Józefa Wybickiego płacze,
»Za te wasze — powiada — wszystkie nieudacze,
za tych konfederatów, com ich pobił, z Baru,
za Wawel, com go zdobył, za Pragę...« umiaru
nie miał, prawda, w zwycięstwach nad nami, by w końcu
rozgromić nasze legie w złym italskim słońcu
i zaprosić na ucztę... Humor miał szelmowski.
Powiada nam: »Niewdzięczny jenerał Dąbrowski,
wszyscyście lichy wybór zrobili, Polaki...«
Dał nam wypić, zjeść, po czym odesłał do paki...”
„Tak to jest — Wojski rzecze — przegraliśmy sprawę.
Suwaruf Pragę wyciął, Prusak ssał Warszawę
a my tu o zajazdach — sąsiad na sąsiada...”
„Cicho tam!” Brzytwa przerwie „Niech Soplica gada!
Noc, gęstnieje, że Księżyc zsuwa się za lasy,
Tadeusz tkwi za Zosią. „Toż to kąsek łasy!”
Rad by ją zżegł oddechem, schrupał jak orzeszek...
Włożył na lico śniade hultajski uśmieszek:
„Jeźli tyle w niej ognia, jeźli sama chciała —
nie masz grzechu, repeta by się owo zdała!”
Pomyślawszy — w obiedwie dłonie piersi Zosi
zamknie jak słowa w nawias głaszcze i miętosi.
Zosia główkę odrzuca, zagląda mu w oczy
wystraszona? spłoniona? Serce w górę skoczy:
„Co znów czyni?” Tadeusz, opuściwszy dłonie,
unosi jej sukienkę, w koroneczkach tonie,
zsunąwszy w dół z kuperka jej ineksprymable —
schowa w pochwie płonącej krwi niesytą szablę...
Szabla w swoim żywiole, prawda, krew nie woda...
Zosia karczku nachyli, w przód się nieco poda
i choć strach ciało całe gęsią kryje skórą —
nie panuje nad bujną, panieńską naturą,
choćby się zerwać chciała z onego oręża,
zbywszy lęku ból tępy dzielnie przezwycięża
ułowiona jak ryba w sieć, w najlubsze dreszcze,
dziwi się, że choć boli — chce jeszcze i jeszcze,
jak chciała Telimena, znak to — rzecz nie płona
że Zosia jest kobietą, więc już wyzwolona...
Tadeusz zaś, nie roniąc ni słowa z perory
Mnicha i panów szlachty łowiąc uchem spory
nasładzał się dotykiem atłasowej skórki,
i choć szczyt w szarży minął choć już było z górki
nie porzucał terenu co szablą zdobyty,
a i Zosia, manierą rasowej kobiety
dozwalała się ściskać do sińców na biodrze:
niech się nieszczęsny hymen raz do szczętu podrze!
Konewka burczał z cicha, Sak w ucho się drapał
(Sak pierwszy do Zosinych wdzięków poczuł zapał).
Tadeusz, bój skończywszy (koniec wieńczy dzieło!),
Niechby, myślił, już wojna, niechby się zaczęło!
Poznaje się rycerza po jego ofierze! —
Widzi się: twardą ręką wojsko w kupę zbierze
i brzęcząc: Na nich! śród szczęku i mętu
roznosi wraże pułki jak hymen, do szczętu!
A potem, krwią ociekły wraca w pełni chwały,
ściskają mu prawicę bitne jenerały,
a sam ów Napoleon order mu przypina...
Ma Ojczyzna prawego jak ojcowie syna,
byle dłoń była krzepka, byle zdrowia stało —
z gołą skoczyłby szablą na najcięższe działo
dla Polski i dla Litwy, w której cne Mazury,
choć im, zrządzeniem losów podłych, zmiękły rury,
przecie gotowe skoczyć na głos barabanów...
Ksiądz Robak kaptur włożył. „Nie nudzę waćpanów?...”

Rękopis „Opuszczonego fragmentu” od kilku pokoleń przechowywano w rodzinie mojej matki, z Majewskich, jak matka Mickiewicza, a ponieważ jest dosyć frywolny, jego autorstwo zaś niepewne, trzymano go wśród papierów domowych, pokazując tylko najbliższym... Z czasem pojawiło się kilka rozmaitych pastiszów i parodii fragmentów arcypoematu, tym pilniej więc strzeżono rękopisu by się nie narazić na śmieszność albo nie uchybić Wielkiemu Imieniu. Czasy się jednak zmieniły dziś co tydzień młodzież otrzymuje instrukcje jak się kochać i jak kochać skutecznie, przeto nie będzie wielkiego zgorszenia, kiedy i ten rękopis ujrzy światło dzienne. Mickiewicz, jak wiadomo, nie miał natury mnicha, celibat byłby ostatnią pokutą, jakiej byłby się poddał, przeto narysowany tu obraz miłosnych zapasów Tadeusza z Telimeną i Zosią nie musi wcale obrażać Jego pamięci... Przemyślawszy to wszystko, zdecydowałem się rzecz tę do druku podać anno 1984, w 150 rocznicę opublikowania „Pana Tadeusza”, nawet jeśli mi to nie będzie wybaczone...

Bohdan Drozdowski

Warszawa, 10 czerwca 1984

PS. Dla ciekawości zbadałem u źródeł, czy rzeczywiście Suworow po rozbiciu legionów Dąbrowskiego — wśród innych wojsk Napoleona — pod Trebbią (19 VI 1799) i pod Novi (15 III 1799) zaprosił na przyjęcie oficerów polskich wziętych do niewoli i czy nazwał Dąbrowskiego „niewdzięcznym”. Rzeczywiście! Ubolewał, że dzielne legie polskie pod takim dowódcą złemu służą aliansowi, bo mu już wtedy żadnych nie wróżył sukcesów...